NR 28 (1952) 14 LIPCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

Dziennikarz vs. MEDIAWORKER

TYSOL.PL

- TRZECIA DROGA 2.0
- „ALTERNATYWY 4" – POLSKA W PIGUŁCE

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

REPUBLIKA

„Jastrząb Show” — autorski program Sławomira Jastrzębowskiego w Republice łączący poważną publicystykę z niekonwencjonalnym komentarzem muzycznym. O najważniejszych wydarzeniach tygodnia rozmawiają goście programu, a emocje i kontekst wydarzeń komentuje saksofonem Sebastian Zys „Mr Sebii”.



SOBOTA

21:00

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 2dc4a65eb2



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Rozsądek nakazywałby sądzić, że przez aferę ze Szpitalem Południowym rząd Donalda Tuska mocno wizerunkowo oberwie. Mamy tutaj polityczną korupcję, przywileje władzy, wysysanie pieniędzy z sektora publicznego, i to w tak ważnej sprawie jak ochrona zdrowia. Mamy wreszcie nierówne traktowanie i chciwość. Pełen wachlarz. Ale prawdopodobnie ani premierowi, ani jego rządowi nie stanie się nic. Dlaczego? Bo bardzo ciężko pracują już nad tym odpowiednie media. To ich główny cel i dlatego są tak potrzebne politykom.

Kiedy wybucha polityczna afera, pierwszym pytaniem coraz rzadziej jest: „Czy to prawda?". Znacznie częściej pada inne: „Kto to ujawnił?". Jeżeli materiał opublikowało medium uznawane za „nasze", jest wiarygodny, nawet gdy opiera się na anonimowych źródłach. Jeśli zrobiło to medium przypisane do „tamtych", automatycznie staje się propagandą, niezależnie od jakości dowodów. W ten sposób dziennikarstwo przestaje być metodą dochodzenia do prawdy, a staje się kolejnym polem wojny plemiennej.

Same media zresztą bardzo dbają o to, żeby trzymać właściwy kurs, i regularnie wewnętrznie się oczyszczają. Już lata temu doszło do zjawiska, które nazywam uwłaszczeniem się na polskiej opinii publicznej. Nieprzypadkowo przez lata dziennikarze odpowiednich redakcji liberalnych stworzyli pewien własny, zamknięty obieg dziennikarski polegający na tym, że nagrody dziennikarskie, wyróżnienia, splendory, książki, stypendia trafiały wyłącznie do tych, którzy publikują w słusznych, certyfikowanych mediach. Wszyscy ci, którzy ten układ liberalny w jakikolwiek sposób krytykowali, na początku dostawali żółtą, potem czerwoną kartkę, a jak już wypadali poza ten światek, tracili właściwie prawo do nazywania siebie dziennikarzami.

W tak uporządkowanym świecie dziennikarskim w chwili wybuchu kryzysu takiego jak w Szpitalu Południowym, zamiast dyskutować o faktach, zaczyna się dyskusja o autorze. Kim jest? Z kim się spotyka? Gdzie pracował? Co pisał pięć lat temu? Kto go finansuje? To stary chwyt retoryczny: nie obalić argumentu, lecz podważyć wiarygodność człowieka, który go przedstawia.

I tak mamy do czynienia nie tylko z podważaniem wiarygodności samego informatora, ale także medium i dziennikarzy, którzy całą sprawę ujawniają. Najgorzej, że w przypadku Szpitala Południowego to nie jest jednoznaczne „medium prawicowe". Wtedy sprawa byłaby prosta. W obecnej sytuacji cała machina propagandowa ruszyła w kierunku wykazania, że tak naprawdę to medium „kryptoprawicowe", czyli takie, które udaje obiektywizm, ale tak naprawdę jest tą straszną prawicą.

Media od dawna wiedzą, że emocje są bardziej dochodowe niż analiza. Algorytmy tylko ten mechanizm spotęgowały. Nie premiują materiałów najrzetelniejszych, lecz te, które wywołują największą reakcję. Oburzenie, śmiech, gniew albo satysfakcję z tego, że „nasz znowu wygrał". W efekcie każda kolejna informacja natychmiast zostaje wciągnięta w wir politycznej identyfikacji.

Oczywiście trudno udawać, że istnieje pełna obiektywność. Każda redakcja ma własną hierarchię tematów, własną wrażliwość i własne ograniczenia. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy selekcja faktów staje się ważniejsza od samych faktów, a lojalność wobec własnego obozu okazuje się cenniejsza niż lojalność wobec czytelnika.

Nie potrzebujemy już cenzury. Wystarczy przekonanie, że prawda zawsze jest po naszej stronie.

Jednym z paradoksów współczesnego dziennikarstwa jest to, że nigdy wcześniej nie dysponowaliśmy tak ogromną liczbą źródeł informacji, a jednocześnie tak łatwo zamykamy się w informacyjnych gettach. Nie potrzebujemy już cenzury. Wystarczy przekonanie, że prawda zawsze jest po naszej stronie. S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 2dc4a65eb2

14.07.2026
WYDANIE Nr
28

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Pauperyzacja zawodu dziennikarza



10 **Dziennikarz vs. mediaworker**

14 **Polaryzacja zabija dziennikarstwo. Rozmowa z J. Żakowskim**

20 **Dojechać sygnalistę**

23 **Zero litości**

26 **Zniewalanie myśli**

WYDARZENIE TYGODNIA:

37. Międzynarodowy Wyścig Kolarski „Solidarności" i Olimpijczyków. Święto sportu, święto Związku 6

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ"

Przeciw zbiorowej nieodpowiedzialności. Rozmowa ze Z. Brzezińskim 30

KRAJ

Trzecia Droga 2.0, czyli jak tonące PSL Hołowni się trzyma 34

Śladami wolności i stoczniowego trudu. Dlaczego historia Sali BHP tak przyciąga? 38

Na konflikcie polsko-ukraińskim stracą oba narody 40

Kto ma większy interes 44

ZAGRANICA

Historia, czyli dominacja 50

KULTURA

Chcieliśmy pokazać Polskę w pigułce. Rozmowa z J. Płońskim 54

Ostatnie życzenie. Recenzja filmu „Obsesja" 60

RELIGIA

Odbijanie Bożego światła. Rozmowa z ks. prof. D. Kowalczykiem 62

ZWIĄZEK

Co w związku 66

Państwo powinno zacząć od siebie, czyli jak resort kultury jest daleko od (kultury) dialogu społecznego 68

FELIETONY:

OKRASKA 5

GAC 13

PŁUŻAŃSKI 65

KRYSZTOPA 71

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 19

KARUZELA Z BLOGERAMI 47

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 48

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność"

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS" na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 2dc4a65eb2

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Małpa na gumie

Dlaczego żałujemy innym pomocy społecznej i w ogóle wszelkich pieniędzy, których nie zarobili sami (chyba że je odziedziczyli – wtedy zazdrościmy, ale nie żałujemy)? Wyjaśnienie jest oczywiście bardzo proste – trzyma się naszych głów neoliberalny mit, w myśl którego za nasz los jesteśmy odpowiedzialni jedynie my sami. Za wszystko: miejsce urodzenia, zamieszkania, wykształcenie lub jego brak, nałogi, wybory, przyszłość naszych dzieci. W świetle takiej wykładni nikt nie jest nam nic winien.

Tylko że to oznacza, że właściwie nie istnieje społeczeństwo. Ono bowiem miałoby tworzyć pewne więzi i podtrzymywać je, kierując się zasadą wzajemności. Teraz ja mam mniej, a później ty, teraz on ma gorzej, więc my pomożemy.

Problem pojawia się, gdy okazuje się, że niektórzy nigdy się nie „odwdzięczą". I choć nie odwdzięczą się także ci, którym się powiodło (np. lekarze wykształceni na polskich uczelniach za darmo, a wyjeżdżający do pracy za granicę lub czerpiący niesłychane korzyści finansowe z tego wykształcenia – na które zrzucałam się też ja i pani Krysia spod czwórki), to dziwnym trafem największy żal mamy do ubogich, na których „trzeba łożyć".

Kolejny raz powraca strach przed przyznawaniem pomocy „za nic", tak, jakby sama choroba, ubóstwo czy po prostu bycie dzieckiem/obywatelem nie wystarczyły do otrzymywania skromnego dochodu. Kolejny raz powraca przekonanie, że w Polsce da się „siedzieć na zasiłkach", że klasy ludowe nie pracują, lecz „żerują", że na nic się nie składają i na nic nie płacą. Sporo tu mitów, półprawd i po prostu kłamstw. Nie ma bowiem osoby, która nie płaci żadnych podatków (choćby akcyzy czy VAT za zakupy), zatrudnieni na krótkie okresy na kiepskich umowach też są obłożeni podatkiem dochodowym czy kosztami uzyskania przychodu. Społeczeństwo korzysta na tym, że pan Wiesiek pilnuje kas w dyskoncie. To raczej molochy spożywcze unikają pełnego opodatkowania swoich ogromnych zysków.

I tak się kręci społeczeństwo, które niby chcemy, by było społeczeństwem, ale jednocześnie bijemy się z innymi biedakami o ochłapy, gdy bogaty nadal się bogaci. Żałujemy 200 zł samotnej matce czy „pijakowi", żałujemy chorym rent, a górnikom emerytur i odpraw, choć narażali codziennie życie, byśmy mieli prąd w gniazdku. Uważamy, że pewne zawody powinny być nisko opłacane – oczywiście wykonywany przez nas nigdy nie znajduje się na tej liście. Poszukujemy pretekstów, by nie dać, nie podzielić się, nie wesprzeć. Wolimy rzucić parę groszy na szemraną zrzutkę w internecie, niż regularnie płacić podatki, których, zdaniem wielu, „nie powinno być". Sprzeciwiamy się podnoszeniu składek i opodatkowaniu zamożnych. Współczujemy tym, którzy muszą płacić wiele za cokolwiek, choć procentowo, licząc od dochodu, niezamożni dokładają się do budżetu najwięcej. Skaczemy jak małpa na gumie, bo ktoś bogaty musiałby zapłacić podatek od trzeciego czy piątego mieszkania.

Mieszkania, którego nigdy nie będziemy mieć.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Wydarzenie Tygodnia

37. MIĘDZYNARODOWY WYŚCIG KOLARSKI „SOLIDARNOŚCI” I OLIMPIJCZYKÓW

Święto sportu, ŚWIĘTO ZWIĄZKU

Za nami cztery dni sportowych emocji, pięć wymagających etapów i **setki kilometrów** pełnych walki, determinacji oraz kolarskiej pasji. 4 lipca w Jaworznie zakończył się 37. Międzynarodowy Wyścig Kolarski „Solidarności” i Olimpijczyków – jedno z najważniejszych wydarzeń kolarskich w Polsce i wielkie sportowe święto Związku.

Barbara Michałowska

Na mecie ostatniego etapu kolarzy witał m.in. Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Niezwyciężony Marceli Bogusławski

Tegoroczna edycja Wyścigu obejmowała pięć etapów o łącznej długości 661 kilometrów. Trasa prowadziła z Łodzi do Jaworzna, a zawodnicy rywalizowali zarówno na szybkich

Fot. M. Żegliński (7)

eprasa.pl 2dc4a65eb2



odcinkach sprinterskich, jak i wymagających etapach o pagórkowatym profilu. Odwiedzili po drodze m.in. Bełchatów, Zduńską Wolę, Koluszki, Sieradz, Skierniewice, Jędrzejów, Sosnowiec i Nowiny.

W Wyścigu uczestniczyły czołowe polskie i zagraniczne drużyny. Triumfatorem 37. edycji został Marceli Bogusławski z czeskiej grupy ATT Investments, który obronił koszulkę lidera i zwyciężył

eprasa.pl 2dc4a65eb2



w klasyfikacji generalnej. – Aż szkoda nie postawić kropki nad „i”, kiedy koledzy z drużyny zostawiają na trasie całe serce i wykonują fantastyczną pracę aż do ostatnich metrów – mówił po zwycięstwie w trzech pierwszych etapach Wyścigu. Mimo iż w dwóch ostatnich pierwsi finiszowali inni zawodnicy, Bogusławskiemu udało się utrzymać żółtą koszulkę aż do końca Wyścigu i wygrał go już po raz drugi (tryumfował również rok temu).



Promocja wartości

Organizatorzy podkreślają, że Wyścig „Solidarności” i Olimpijczyków to nie tylko wydarzenie sportowe, ale także święto całego Związku oraz promocja wartości, które od lat towarzyszą tej imprezie – współpracy, wytrwałości i sportowej rywalizacji. To również zawody, które dają polskim ekipom możliwość rywalizacji na międzynarodowym

eprasa.pl 2dc4a65eb2

poziomie i zdobywania cennych punktów do klasyfikacji UCI.

– Cieszę się, że ten Wyścig, który ma rangę międzynarodową i jest umieszczony w kalendarzu UCI, pozwala na start wszystkim polskim ekipom, które mają zespół. Również tym, które miałyby problem, żeby dostać się na wyścig tej rangi za granicą. Oni jadą, uczą się i mogą się ścigać tu, w Polsce – mówił nam w trakcie Wyścigu jego dyrektor Waldemar Krenc.

Najważniejszy wyścig kolarski związków zawodowych

W tym roku jak zwykle nie zabrakło również wspaniałej atmosfery na trasie. Mieszkańcy miast i miejscowości licznie dopingowali zawodników, tworząc wyjątkową oprawę każdego etapu. Dzięki zaangażowaniu organizatorów, służb zabezpieczających oraz wolontariuszy Wyścig przebiegł sprawnie i bezpiecznie.

Podczas uroczystej dekoracji na mecie w Jaworznie Waldemar Krenc, dyrektor Wyścigu, podziękował wszystkim osobom zaangażowanym w organizację tego wydarzenia oraz zabezpieczającym je służbom.

– Nikt z nas nie spodziewał się, że zbudujemy takie dzieło, które będzie dzisiaj najważniejszym wyścigiem kolarskim na świecie związków zawodowych. W Polsce zaś – najważniejszym wyścigiem, na którym może się ścigać każda polska drużyna – podkreślił. Podziękował również Piotrowi Dudzie, przewodniczącemu Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, za nieustanne wsparcie tego wydarzenia.

Przewodniczący Piotr Duda zaś powiedział nam po dekoracji, że każdy Wyścig to oprócz sportu także lekcja historii i jednocześnie promocja Związku.

– Solidarność ma 46 lat, a Wyścig – 37. Codziennie w swojej pracy związkowej angażujemy się w różnego rodzaju wydarzenia, także związane z historią NSZZ „S”. Poprzez Wyścig nasze wartości i wiedza o naszej historii docierają do wielu miast i miasteczek w naszym kraju. Te tłumy ludzi, którzy stoją tu na ulicach i kibicują kolarzom, kibicują także Solidarności – powiedział.





Ruszają przygotowania

Tegoroczna edycja po raz kolejny pokazała, że Wyścig „Solidarności” i Olimpijczyków jest jednym z najważniejszych punktów w kalendarzu polskiego kolarstwa, ale również świętem całej Solidarności. Już dziś organizatorzy zapowiadają przygotowania do kolejnej edycji, która ponownie połączy sport, tradycję i wartości Solidarności. Jak zaznaczył zastępca przewodniczącego Regionu Ziemia Łódzka NSZZ „Solidarność” Piotr Ścieśko, przygotowania do kolejnej edycji rozpoczynają się niemal natychmiast po zakończeniu obecnego Wyścigu i trwają przez cały rok. Organizacja tak dużego przedsięwzięcia wymaga współpracy wielu osób, samorządów oraz partnerów w całym kraju.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Dziennikarz vs. MEDIAWORKER

Zawód dziennikarza ulega ciągłej pauperyzacji od kilkunastu lat. **Dna tego spadku nie widać**. To prawdziwie wolny zawód ze wszystkimi tego – coraz bardziej negatywnymi – konsekwencjami.

Jakub Pacan



Fot. Adobe Stock

Powoli stajemy się jak bednarze – mawiał już kilkanaście lat temu doskonały dziennikarz piszący o kulturze Piotr Bratkowski, obserwując, jak rewolucja technologiczna dokonuje zmian w tej branży. Faktycznie zawód, który wymagał czasu, by w nim dojrzeć, wprawnego oka mistrza patrzącego dokładnie na postępy adepta wchodzącego w świat mediów, przeszedł do historii. Cóż z tego, że bednarze robią piękne, stylowe beczki, skoro zajmuje to bardzo dużo czasu, a łatwiej i taniej zastąpić je beczkami plastikowymi?

Mediaworkerzy

Kunszt redaktorski jest coraz mniej potrzebny tak jak klasycznie pojmowana formacja dziennikarska. Były czasy, może jeszcze dwie, trzy

eprasa.pl 2dc4a65eb2

dekady temu, gdy młodemu dziennikarzowi chcącemu wejść w jakiś obszar aktywności zawodowej, np. w stosunki międzynarodowe, sektor obronny lub zjawisko nowych ruchów religijnych, dawało się stos książek tematycznych z zaznaczeniem, że za jakiś czas będzie z nich dokładnie odpytany. Obecnie media elektroniczne dają wiele sposobności pracy w branży i nie musi to być redaktor piszący długie, analityczne teksty. Starsi dziennikarze przyzwyczajeni jeszcze do ścisłej hierarchii w tym zawodzie odbierają nawet młodszym kolegom prawo do nazywania ich dziennikarzami czy redaktorami, często mówią o nich media-workerzy, którzy mają dostarczać tylko kontent dający jak najwięcej odsłon i wysoką pozycję w wyszukiwarce.

Doszło do sytuacji, gdy szanowani reportażyści, słynący z przywożenia materiałów wojennych z najdalszych zakątków świata, pukają do kolejnych redakcji z prośbą, by kupiły od nich materiał, ale pieniądze, które są im proponowane, to kilkaset złotych, czasem ponad tysiąc, no bo ważne jest to, ile „wykręcą" z tego kliknięć. Ma się to nijak do pół roku spędzonego gdzieś na drugim końcu świata za własne pieniądze. Kto wie, czy w dzisiejszej rzeczywistości Ryszard Kapuściński nie miałby gorzej niż w czasach PRL, kiedy podróżowanie było bardziej skomplikowane i droższe. Dzisiaj mógłby usłyszeć: „Tu, na miejscu, przy biurku, mam chłopaka czy dziewczynę, która zrobi mi wiral. Nie stać mnie na takie ambitne materiały", a w domyśle: „Po co mam tracić pieniądze na takie rzeczy?". Najczęściej taka dziewczyna czy chłopak nie ma nawet umowy o pracę.

Zawód dziennikarza ulega coraz większej pauperyzacji paradoksalnie także z powodu demokratyzacji i otwarcia się tego zawodu. Dawniej, przy ograniczonej liczbie tytułów prasowych, radiowych i telewizyjnych, kandydat musiał się wykazać determinacją, pokorą i profesjonalizmem, by być dopuszczonym do redakcji. Większa demokratyzacja i szeroki próg wejścia same w sobie są dobre. Społeczeństwo nie jest niewolnikiem jednej, z góry narzuconej agendy, panuje pełen pluralizm i każdy może afirmować swoje wartości i przekonania w przestrzeni publiczno-medialnej. Owszem, jedni mają większe możliwości, inni mniejsze, ale pluralizm i wolność jednak są.

DOSZŁO DO SYTUACJI, GDY SZANOWANI REPORTAŻYŚCI PUKAJĄ DO KOLEJNYCH REDAKCJI Z PROŚBĄ, BY KUPIŁY OD NICH MATERIAŁ, ALE PIENIĄDZE, KTÓRE SĄ IM PROPONOWANE, TO KILKASET ZŁOTYCH.

Face to face

Dzisiaj każdy, kto chce, może otworzyć swój kanał na YouTubie i tworzyć dowolne treści, no, prawie dowolne, nie mając żadnego przygotowania ani pojęcia, czym różni się komentarz zaangażowany od niezaangażowanego, czym jest np. przesłuchanie perswazyjne i kiedy je stosować, czym różni się rola obiektywnego obserwatora od roli krytyka i jakiego rodzaju ma to być krytyk – „twardy" czy „miękki".

Jest łatwo, zamiast bawienia się w skomplikowane meandry warsztatu dziennikarskiego, prościej zastosować kontrowersje, podgrzać emocje, wyśmiać kogoś i obrazić albo wyśmiać, obrazić i jeszcze wywołać delikwenta do tablicy, wyzwać go na gombrowiczowski pojedynek na miny w mediach. Oj, takie rzeczy prawdziwie „żrą" i nabijają kliknięcia. W świecie FAME MMA na popularności wciąż zyskuje zjawisko „face to face", to niezwykle prymitywna forma wzajemnych wyzwisk, krzyków i czasem bójek rywali stojących przed sobą twarzą w twarz przed walką. Ustawki medialne bardzo często przypominają właśnie „Face to face". Kto wie, może niedługo w kłótniach goście dla wirali zaczną wykorzystywać dostępne podczas rozmowy gadżety, np. wyleją na interlokutora wodę ze szklanki. Może tak być, szczególnie gdy goście nie mają nic do powiedzenia i po raz tysięczny przeżuwają już dawno strawioną treść medialną.

Brak formacji

Zanika za to tradycja przygotowania merytorycznego czy nieustannej formacji intelektualnej wśród dziennikarzy. Tego nie ma obecnie na żadnym etapie. „Od dziennikarzy głupsi są tylko aktorzy" – powiedział jakiś czas temu jeden z najlepszych dziennikarzy wPolsce24 Robert Mazurek. Niestety, nie jest to bezpodstawne stwierdzenie. No bo jak traktować wypowiedź jednej z brylujących teraz gwiazd internetowego komentariatu, mniejsza o nazwisko, która swego czasu w gronie dziennikarzy jasno zadeklarowała, że cieszy ją fakt, że kanclerz Niemiec Olaf

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Scholz ogłosił utworzenie specjalnego funduszu o wartości 100 mld euro dla Bundeswehry w lutym 2022 roku, bo to będzie sprzyjać i nam, a ta Bundeswehra będzie też nas chronić. Warto wspomnieć, że owa gwiazda do dzisiaj prowadzi rozmowy z generałami i wojskowymi.

Kiedyś dziennikarstwo oznaczało czytanie i pisanie. Dziennikarz musiał dużo czytać po to, by dobrze pisać. Gradacja była też taka, że najpierw trzeba było pisać teksty, potem szło się do radia, a z radia do telewizji. W efekcie na wizji czy na antenie byli raczej dojrzali, ukształtowani dziennikarze z dorobkiem i rzetelnym warsztatem.

Od kilkunastu lat adept wchodzący w zawód nie musi nic pisać. Ma przynosić newsy z miasta czy z Sejmu, które coraz częściej trudniej odróżnić od zwykłych medialnych plotek. A to właśnie pisanie wymusza na dziennikarzu pogłębioną analizę, syntetyzowanie wielu odległych nieraz treści, przekopywanie się przez materiał, trud udowodnienia postawionej przez siebie tezy, sprawdzenie, co na poruszony przez niego temat zostało już napisane i w jaki sposób. Tekst to zamknięta kompozycyjnie uporządkowana hierarchicznie według ważności i pojemności całość. Pisanie tekstów nie pozwala na ślizganie się po powierzchni. Tutaj sama wiedza z portalu X, PAP czy Reutersa nie wystarcza, bo trudno, posiadając tylko taki background, przedstawić światu coś oryginalnego lub odkrywczego.

Ludzie, którzy nie czytają literatury fachowej, „nie wiedzą, czego nie wiedzą", i nie są w stanie postawić ważnego pytania publicystycznego. Dla przykładu, gdy zmarła brytyjska królowa Elżbieta II, mało było materiałów na temat instytucji korony w brytyjskiej kulturze politycznej, jej znaczenia dla systemu politycznego Wielkiej Brytanii i Commonwealth. Za to bez końca można było czytać o tym, kto zostanie zaproszony na pogrzeb, a kto nie, w którym będzie stał rzędzie i jakie kapelusze będą miały panie.

Formacja prezentera czy też przygotowanie go do zawodu wyglądają tak, że większą część uwagi poświęca się na to, jak ma wyglądać i jak ma mówić. Uczula się go na wymowę, czasem posyła do logopedy, by ładnie się wysławiał, jednak bardzo rzadko, a często w ogóle nikt nie powie mu, że w danym obszarze powinien więcej poczytać, bardziej wgłębić się w materię. Ktoś powie, że jest to rola wydawcy, ale wydawca też nie musiał pisać tekstów, nie przeszedł przez ten etap i dla niego wartością jest news dnia sam w sobie, bez osadzania go w zawiłościach coraz trudniejszej rzeczywistości.

Dla młodego pokolenia dziennikarzy zrobienie researchu oznacza po prostu przejrzenie nagłówków najważniejszych stron internetowych i mediów społecznościowych, nawet bez wgłębiania się w treści materiałów. Wyrosło już pokolenie komentatorów politycznych, którzy całą swoją percepcję mieszczą w 140 znakach, bo taki limit obowiązywał przez lata na Twitterze. Obecnie na portalu X to 280 znaków. I to im w zupełności wystarcza.

Niestety ma to swoją cenę, najlepsi odchodzą z zawodu, szczególnie jeśli mają jakieś inne umiejętności cenione przez rynek. W „Rankingu prestiżu zawodów i specjalności" przygotowanym przez SW Research dziennikarz jest na 36. miejscu. Prezenter telewizyjny – na 43. miejscu.

I jeszcze jeden aspekt jest ważny – nadmiar informacji, łatwość ich pozyskiwania, pogoń za „bieżączką" i przebodźcowanie wprowadzają więcej chaosu w tym zawodzie, niż wnoszą wartości. Ilość dostępnych informacji przekracza dzisiaj zdolność ich przetwarzania przez człowieka. 70% osób odczuwa zmęczenie i stres z powodu nadmiaru informacji. Tak dziennikarz, jak i czytelnik nie ma czasu i pojemności, by przetworzyć i zakodować nowe treści w sposób efektywny. Skutkuje to nadmiarem treści o niskiej wartości poznawczej, fragmentaryzacją informacji, produkcją „śmiecia" informacyjnego, trudnością w weryfikacji źródeł i w końcu trudnościami z głęboką analizą i zrozumieniem skomplikowanych treści.

Ma być jeszcze trudniej, ponieważ w media wkracza AI. Niektóre redakcje już testują boty atrakcyjnych prezenterek, które rozmawiają z gośćmi. Kwestia czasu, kiedy takie wirtualne gwiazdy będą dostawać maile od wielbicieli ku uciesze swoich twórców i wydawców.

KIEDYŚ DZIENNIKARSTWO OZNACZAŁO CZYTANIE I PISANIE. DZIENNIKARZ MUSIAŁ DUŻO CZYTAĆ PO TO, BY DOBRZE PISAĆ. GRADACJA BYŁA TEŻ TAKA, ŻE NAJPIERW TRZEBA BYŁO PISAĆ TEKSTY, POTEM SZŁO SIĘ DO RADIA, A Z RADIA DO TELEWIZJI.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Tajemnica Patriotów

O tej sprawie nie dowiedzielibyśmy się zbyt szybko, a może i nie wiedzielibyśmy o niej wcale. Rząd postanowił ją bowiem ukryć przed Polakami, ale również – co budzi większy niepokój – prawdopodobnie przed prezydentem. O przekazaniu Ukrainie pocisków do Patriotów wiemy dzięki... samym Ukraińcom. A rząd? Udaje, że sprawy nie ma.

Jeszcze kilka miesięcy temu, gdy Amerykanie prosili sojuszników o wsparcie po ataku na Iran, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślał, że „nasze baterie Patriot i ich uzbrojenie służą do ochrony polskiego nieba i wschodniej flanki NATO". „Nic w tej kwestii się nie zmienia i nigdzie nie planujemy ich przemieszczać! Nasi sojusznicy dobrze wiedzą i rozumieją, jak ważne mamy tu zadania. Bezpieczeństwo Polski jest absolutnym priorytetem" – pisał buńczucznie na X. Tymczasem okazuje się, że niemal w tym samym czasie Polska przekazała bezpłatnie Ukrainie część pocisków do Patriotów.

Cała sprawa nie ujrzałaby zapewne światła dziennego, gdyby nie sami Ukraińcy, którzy postanowili podziękować Polakom. O ile jestem w stanie zrozumieć, że są decyzje, które z natury rzeczy wymagają dyskrecji, a operacje wywiadowcze czy działania wojsk specjalnych nie mogą być jawne, o tyle istnieje zasadnicza różnica między ochroną informacji a ukrywaniem przed opinią publiczną faktów dotyczących strategicznych decyzji państwa.

Co gorsza, istnieje także prawdopodobieństwo, że o sprawie nie tylko nie wiedzieli Polacy, ale i prezydent Karol Nawrocki. Jeżeli okazałoby się to prawdą, to mielibyśmy do czynienia z ogromnym skandalem i poważnym pytaniem o funkcjonowanie państwa i relacje między najważniejszymi organami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo.

W całej sprawie uderza również to, że pociski do systemu Patriot nie są zwykłym wyposażeniem wojskowym, ale jednym z najbardziej zaawansowanych i najdroższych elementów obrony przeciwlotniczej. Ich produkcja nie nadąża za światowym zapotrzebowaniem. Wojna na Ukrainie, napięcia na Bliskim Wschodzie oraz zwiększające się zakupy państw NATO sprawiły, że popyt wielokrotnie przewyższa podaż. Właśnie dlatego decyzje dotyczące ich przekazywania wymagają szczególnej odpowiedzialności.

Tymczasem rząd, gdy pojawiły się pierwsze informacje na ten temat, zamiast transparentności wybrał ciszę i zaciemnianie obrazu. Dopiero później zorganizowano konferencję prasową, na której potwierdzono wcześniejsze doniesienia. Władza często powtarza, że bezpieczeństwo jest jej priorytetem, ale w takim wypadku tym bardziej powinna pamiętać, że opiera się ono m.in. na zaufaniu obywateli do państwa. Jego zaś nie buduje się milczeniem.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Polaryzacja zabija dziennikarstwo

– Dziennikarz, który nie ma głębokiej wiedzy, a został zatrudniony głównie dlatego, że jest medialny i dobrze czyta z promptera, zaprasza do studia gości, o których niewiele wie. Aby program był widowiskiem, dobiera ich tak, by się spektakularnie kłócili. Co widz z takiej kłótni rozumie? Tylko tyle, że „może jest tak, a może jest inaczej", czyli nic nie jest pewne i nikomu nie można ufać. Ten proces nieuchronnie spycha nas ku autorytaryzmowi. Bo jeśli rzeczywistość staje się całkowicie płynna i niezrozumiała, ludzie zaczynają szukać figury silnego ojca, który się nimi zaopiekuje – mówi **Jacek Żakowski** w rozmowie z **Markiem Nowakiem**.



Fot. Krzysztof Żuczkowski / Forum

– Co jest największym problemem współczesnego dziennikarstwa w Polsce?

– Problemów mamy masę, ale najgorsze są polaryzacja i paralelizm, czyli związek mediów z grupami politycznymi i biznesowymi. Większość odbiorców potrafi z bardzo dużym prawdopodobieństwem określić, z którym ośrodkiem politycznym związane jest medium czy konkretny dziennikarz. Co gorsza, znaczna część opinii publicznej oczekuje od nas reprezentowania konkretnej strony sporu – tej, z którą ktoś jest związany. Odbiorcy na ogół nie szukają bezstronnego przekazu. Bezstronność pogardliwie nazywa się „symetryzmem".

– Opisywanie świata w całej jego złożoności przy zachowaniu intelektualnej uczciwości nazywa się dziś „symetryzmem", choć kiedyś było to po prostu esencją dziennikarstwa. Uważa Pan, że odbiorcy nie oczekują już tego od mediów?

– Wielu tego nie chce. Wiem to z doświadczenia. Uważam, że język i polityka rządów Prawa i Sprawiedliwości były złe, a w wielu sprawach groźne. Zwłaszcza w kwestii praworządności, praw człowieka, w relacjach międzynarodowych. Ale potrafię pochwalić tamtą władzę za wprowadzenie minimalnej stawki godzinowej, szybkie podnoszenie płacy minimalnej, program 500 plus. Za każdym razem, gdy mówię to lub piszę, osoby, które – jak ja – stały w opozycji do PiS-u, zarzucają mi szkodzenie demokracji. Kiedy pisałem regularnie do prasy drukowanej, pod moimi tekstami wylewała się fala komentarzy: jedni wyzywali mnie od „PiS-owców", drudzy od „komuchów". Te dwa określenia nieustannie ze sobą rywalizowały. Coraz liczniejszym odbiorcom nie mieściło się w głowie, że można suwerennie myśleć i wypowiadać się szczerze. To jest głęboka zmiana kulturowa. Ludzie coraz rzadziej sięgają po media, by ich informowały, a coraz częściej po to, żeby ich utwierdzały w poglądach i sympatiach. Media ulegają tym oczekiwaniom.

– A czego dokładnie oczekują?

– Odbiorcy coraz rzadziej pytają „Czy to prawda?", a częściej „Komu służy?" jakaś opinia albo informacja. Jeśli sprzyja partii, którą popierają,

eprasa.pl 2dc4a65eb2

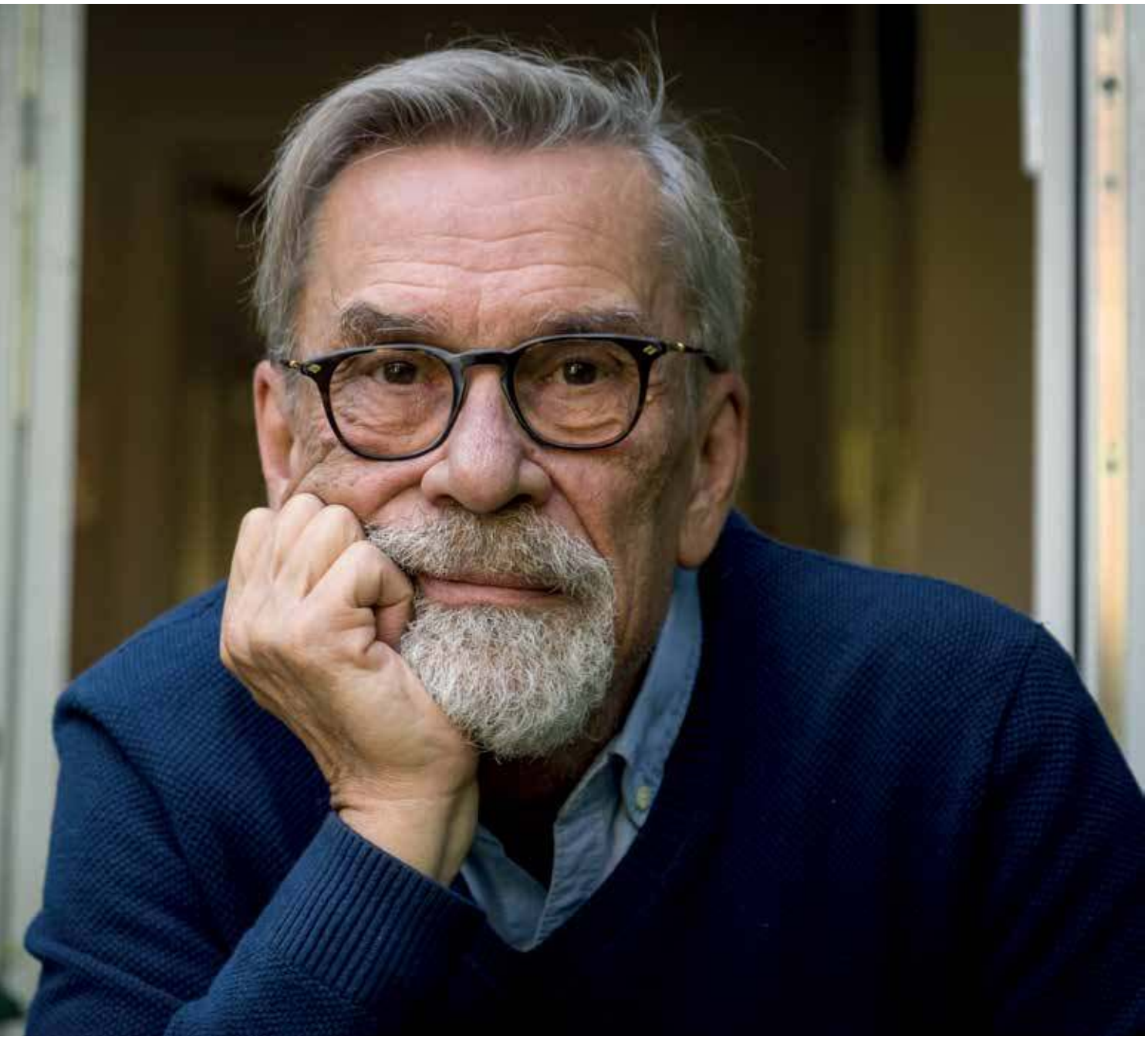

są zadowoleni. A jak uderza w ich ugrupowanie, mają do dziennikarzy pretensje, że to ujawniają.

– Pretensje w tym zawodzie to rzecz naturalna, jednak kluczem powinno być zachowanie niezależności.

– Dla większości dziennikarzy mojego pokolenia to jest oczywiste. Bo pamiętamy jeszcze czasy partyjnych PRL-owskich mediów. W naszym sprzeciwie wobec tamtego systemu osobista wolność i niezależność redakcji były wartościami fundamentalnymi. Potem przyszli młodsi, którzy wolność zastali jako coś oczywistego i systemowo zagwarantowanego. Trudniej im było poczuć, jak ważna jest to zdobycz. I jak krucha. Nie byli już skłonni płacić za jej obronę. Kiedy więc pojawiały się różnego rodzaju naciski – nie tylko polityczne, ale też biznesowe czy menedżerskie – młodsze pokolenia nie zawsze stawiały opór. A presje rosły. Od 1989 r. model polskich mediów przeszedł ogromną ewolucję zgodną z globalnym trendem.

– Ma Pan na myśli tzw. dziennikarstwo tożsamościowe?

– Także. Między latami 70. a 90. w Stanach Zjednoczonych narodził

eprasa.pl 2dc4a65eb2

się wcześniej nieznany model medium tożsamościowego. Jego istotą jest świadoma rezygnacja z ambicji docierania do ogółu społeczeństwa na rzecz trafiania do „swoich”. W praktyce chodzi o budowanie zamkniętych społeczności odbiorców, które wypracowują swoje specyficzne języki i podzielają własne wersje „prawdy”. Dla dziennikarstwa to jest rujnujące.

Do Polski ten trend przyszedł z falą polaryzacji i populizmu, mniej więcej w okolicach afery Rywina. Wtedy zaczęła rodzić się nowa norma: duża część odbiorców przestała oczekiwać bezstronnego opisu rzeczywistości. Zamiast tego zażądali „naszego opisu”. To spycha dziennikarzy coraz mocniej w stronę partyjnej lojalności. Oczywiście, tradycja kontynentalnego dziennikarstwa XX wieku w dużej mierze była tradycją dziennikarstwa zaangażowanego – mieliśmy prasę socjalistyczną, konserwatywną, liberalną, nacjonalistyczną. Wiadomo było, kto wokół jakich idei się gromadzi. Jednak dziennikarstwo tożsamościowe przesunęło dawną „prawdę idei”, czyli wizji świata, w stronę bezkrytycznie klepanych, doraźnych użytecznych „prawd” konkretnej partii lub konkretnego lidera. Ewolucja dziennikarstwa zaangażowanego prowadziła nas do dziennikarstwa spętanego partyjnie.

– Czy jednak zjawisko mediów, które zamiast kontrolować system, stają się jego aktywnymi uczestnikami, nie towarzyszy nam od początku transformacji? Jeśli cofniemy się do czasów upadku komunizmu i budowy III RP, ogromna część ówczesnego środowiska medialnego postrzegała siebie jako kreatorów nowej rzeczywistości. Istniało silne przekonanie, że młoda demokracja jest słaba, niestabilna i potrzebuje obrońcy oraz stabilizatora w postaci mediów. Główne redakcje weszły w tę rolę i choć nie było to jeszcze klasyczne dziennikarstwo tożsamościowe, miało wiele jego cech. Proszę zauważyć, że w latach 90. o związkach zawodowych mówiło się w mainstreamie źle albo wcale, a wszelkie protesty społeczne były z góry delegitymizowane. Pierwszym medium, które pokazało niskie pensje jako realny problem społeczny, nie była żadna z dużych, opiniotwórczych gazet, lecz „Super Express”.

W LIBERALNYCH DEMOKRACJACH SPIERALIŚMY SIĘ O „COŚ”. W DEMOKRACJACH POPULISTYCZNYCH SPIERAMY SIĘ PRZEDE WSZYSTKIM „Z KIMŚ”.

Istniał jasny podział na tematy prawomyślne i nieprawomyślne. Myślę, że późniejszy sukces klasycznych mediów tożsamościowych w dużej mierze wynikał z hasła: „U nas usłyszysz o tym, o czym główne media milczą”.

– To nie jest takie proste. Media „tożsamościowe” dają życie prawdom „przemilczanym”, ale też kłamstwom i paranojom, które sieją chaos. To prawda, że system medialny III RP wyrastał z mediów, które nazwałbym „batalistycznymi”. Ludzie tacy jak ja, związani z antykomunistycznym podziemiem i publikujący w drugim obiegu, byli w PRL nauczeni, że nasza praca ma służyć zmianie systemu. Ale my służyliśmy idei budowy wolnego państwa, a nie konkretnej partii czy grupie interesów.

Jest zasadnicza różnica między tamtymi latami a współczesnością. Ówczesny podział ostro dzielił kraj na „nas” i na „nich”, ale wewnątrz naszego obozu znajdowali się ludzie o bardzo różnych poglądach – konserwatywnych, socjalistycznych, liberalnych, nacjonalistycznych. Po 1989 roku ta różnorodność była w mediach szanowana. „Gazeta Wyborcza”, która generalnie afirmowała linię Tadeusza Mazowieckiego, Leszka Balcerowicza, Bronisława Geremka, czuła się w obowiązku drukować teksty autorów z zupełnie innych nurtów opozycji antykomunistycznej, takich jak Leszek Moczulski albo Ryszard Bugaj.

– Trudno sobie wyobrazić, by dzisiejsza „Gazeta Wyborcza” zrobiła coś podobnego. Co się zatem zmieniło?

– To się zdarza rzadziej. Na tym polega wielki sukces populistów. Udało im się zmienić kulturę debaty na taką, w której spór merytoryczny został zastąpiony przez moralizowanie. W liberalnych demokracjach spieraliśmy się o „coś”. W demokracjach populistycznych spieramy się przede wszystkim „z kimś”. I jest to spór manichejski: walka dobrych ze złymi, mądrych z głupimi, sprawiedliwych z podłymi. Kategoria prawdy jako bezstronnego opisu rzeczywistości straciła na znaczeniu. Kto się trzyma starej dziennikarskiej zasady bezstronności, tego większość uważa za szkodnika lub wroga. Jak w klasycznej formule stalinowskiej: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”.

Myślę, że gdyby o moich audycjach w TOK FM porozmawiał Pan

eprasa.pl 2dc4a65eb2

dziś z Donaldem Tuskiem i z Jarosławem Kaczyńskim, usłyszałby Pan mniej więcej to samo, czyli że szkodzę Polsce. Część słuchaczy też reaguje oburzeniem, wysyłając pełne pretensji wiadomości. Wczoraj w sklepie zaczepiła mnie starsza pani. Podeszła nieśmiało i drżącym głosem powiedziała: „Nie krytykujcie tak tego Tuska, bo przegramy". To idealnie obrazuje problem: odbiorcy oczekują od mediów odpowiedzialności za wynik wyborczy, a nie za wierność faktom. Ludzie od prawdy wolą informacje, które przysłużą się ich obozowi politycznemu. To fundamentalna zmiana kulturowa, którą populistom udało się w Polsce przeprowadzić.

ODBIORCY OCZEKUJĄ OD MEDIÓW ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA WYNIK WYBORCZY, A NIE ZA WIERNOŚĆ FAKTOM.

– Zatem dlaczego druga, niepopulistyczna strona uległa populistom?

– Wie Pan, moim zdaniem, pojęcie „drugiej strony" straciło rację bytu. Populizm nie jest już cechą przypisaną wyłącznie jednemu obozowi politycznemu. W okolicach afery Rywina wszystkie siły polityczne odkryły moralizatorstwo jako niezwykle użyteczne narzędzie. Wtedy zmienił się język. Polityka przestała być sporem o lepsze lub gorsze rozwiązania systemowe, a stała się opowieścią o dobrych i złych ludziach. To zjawisko wyssało racjonalność z debaty publicznej i wpompowało w nią czyste emocje.

Oczywiście, to nie jest tylko polska przypadłość. Trend polaryzującej moralizacji niszczy wiele zachodnich demokracji. Proszę spojrzeć na Stany Zjednoczone. Tam ten mechanizm rozwija się znakomicie po obu stronach barykady. Z jednej strony mamy moralizatorstwo ruchu MAGA, a z drugiej – kulturę poprawności politycznej, która również jest silnie moralizująca. To globalne zjawisko i globalne nieszczęście.

– Skoro mówimy o zjawisku globalnym, spróbujmy zdefiniować jego genezę.

– Myślę, że u podstaw leży – wielokrotnie już opisywana przez socjologów i politologów – utrata sprawczości przez państwa narodowe. Niezależnie od tego, czy u władzy są akurat nacjonaliści, czy internacjonaliści, zakres ich realnego wpływu na losy społeczeństw drastycznie się kurczy pod wpływem procesów integracyjnych. Współzależności międzynarodowe są tak potężne, że nawet supermocarstwo pokroju USA nie jest w stanie dyktować innym warunków. W dużym stopniu ze względu na rolę Chin. Kiedy Amerykanie atakują Iran, nagle chwieje się globalna równowaga i nawet największa potęga militarna musi się cofnąć, gdy skalkuluje ryzyko. Bo nie jest w stanie odnieść pełnego sukcesu – przynajmniej w granicach kosztów, które jest skłonna ponieść. Podobnie kiedy Rosja napadła Ukrainę, sieć międzynarodowych powiązań tak ją docisnęła, że nie potrafi wygrać mimo gigantycznej przewagi potencjałów.

KTO SIĘ TRZYMA STAREJ DZIENNIKARSKIEJ ZASADY BEZSTRONNOŚCI, TEGO WIĘKSZOŚĆ UWAŻA ZA SZKODNIKA LUB WROGA.

Ponieważ państwa tracą kontrolę nad własnym losem, politycy, którzy nie potrafią już rozwiązywać realnych problemów strukturalnych, szukają innych sposobów na zdobycie i utrzymanie władzy. Dlatego przestają rozliczać się z tego, co załatwili dla obywateli. Zamiast tego obiecują brutalnie załatwić przeciwników. Slogan „zreformuję służbę zdrowia" ustępuje hasłom typu „rozliczymy Tuska" albo „rozliczymy PiS". Merytoryczna dyskusja zostaje zastąpiona przez moralne manifesty, które albo ludzi uwodzą, albo przerażają. Ten mechanizm działa w kampaniach wyborczych, ale nie rozwiązuje kryzysów rzeczywistości, przez co one się z roku na rok radykalizują.

– Naszkicowaliśmy diagnozę systemu politycznego. Jaką rolę pełnią w nim współczesne media?

– Media, podobnie jak polityka, zawsze miały w sobie element spektaklu. Ich naczelną zasadą jest najpierw przykuć uwagę odbiorcy, a potem przekazać mu informacje. Starych i nowych mediów zrobiło się jednak tak dużo, że walka o uwagę pochłania większość energii redakcji. Wystarczy spojrzeć na programy informacyjne: często zaczynają się od tego, że prezenter wykonuje efektowny, trzydziestosekundowy

eprasa.pl 2dc4a65eb2

pasaż w studiu. Często pomiędzy wirtualnymi statkami kosmicznymi albo samolotami. W latach 90. nazwaliśmy to infotainmentem – miksem informacji z rozrywką. Dziś w Polsce infotainment wchłonął już niemal wszystko. To szopka i cyrk, a nie dziennikarstwo.

W konsekwencji nasz zawód przestaje wymagać merytorycznych kompetencji. Skoro poszliśmy w stronę czystej rozrywki, dziennikarze-eksperci i znawcy tematów przestali być w redakcjach niezbędni. Dziennikarz, który nie ma głębokiej wiedzy, a został zatrudniony głównie dlatego, że jest medialny i dobrze czyta z promptera, zaprasza do studia gości, o których niewiele wie. Aby program był widowiskiem, dobiera ich tak, by się spektakularnie kłócili. Co widz z takiej kłótni rozumie? Tylko tyle, że „może jest tak, a może jest inaczej", czyli nic nie jest pewne i nikomu nie można ufać.

Ten proces nieuchronnie spycha nas ku autorytaryzmowi. Bo jeśli rzeczywistość staje się całkowicie płynna i niezrozumiała, ludzie zaczynają szukać figury silnego ojca, który się nimi zaopiekuje. Część społeczeństwa widzi tego ojca w politykach prawicy, jak Karol Nawrocki czy Jarosław Kaczyński, inni w szowinistycznych populistach, jak Grzegorz Braun, a jeszcze inni w Donaldzie Tusku. Polityka zamienia się w wielki proces adopcyjny. Prawda traci znaczenie. Liczy się to, by polityczny „ojciec" uratował nas przed naszymi lękami i niestabilnością świata.

> MERYTORYCZNA DYSKUSJA ZOSTAJE ZASTĄPIONA PRZEZ MORALNE MANIFESTY, KTÓRE ALBO LUDZI UWODZĄ, ALBO PRZERAŻAJĄ.

– Myśli Pan, że właśnie dlatego wspomniana starsza pani miała do Pana pretensje w sklepie? Ponieważ nie szukała w mediach prawdy, lecz ratunku?

– Tak uważam. I nie mam o to do tej pani najmniejszego żalu.

– Ludzie w niestabilnych czasach szukają oparcia. Dlaczego jednak sami dziennikarze godzą się na redukowanie swojej roli do pozycji politycznych kibiców? Dlaczego sami sobie to zrobiliśmy?

– Dziennikarz też człowiek. Ma lęki jak inni. I nie mówiliśmy jeszcze o menedżeryzmie, który zdominował wiele dziedzin życia, w tym media. Coraz więcej menedżerów – kierowników, wydawców, redaktorów naczelnych, prezesów firm mediowych – uważa, że ma prawo wymuszać na podwładnych przekazywanie nakazanej interpretacji świata. Wynika to częściowo ze wspomnianego napływu do zawodu ludzi pozbawionych silnych kompetencji merytorycznych, ale w znacznie większym stopniu z dominującej kultury zarządzania. Menedżerowie w korporacjach przestali być integratorami kompetencji zespołu, a stali się autorytarnymi, narcystycznymi dyktatorami.

Ta kultura zarządzania przeniknęła do mediów wraz z ogólną zmianą społeczną. Proszę zwrócić uwagę, jak powszechna w polityce stała się dziś fraza, że np. minister został odwołany, ponieważ „premier stracił do niego zaufanie". Czy osobiste zaufanie przełożonego powinno być kluczowym kryterium zatrudnienia urzędnika państwowego? Jak ryzykowne to jest kryterium? Czy zgoda na takie kryterium nie powoduje, że budujemy świat, w którym znikają ludzie stawiający opór? To systemowo antydemokratyczne. Czy media, których fundamentalną misją jest przecież publiczne poszukiwanie prawdy, patrzenie władzy na ręce i ochrona wolności, mogą dobrze funkcjonować w oparciu o takie autorytarne schematy?

– Widzi Pan szansę na wyjście z tego kryzysu?

– Tak. Prędzej czy później z niego wyjdziemy. Kluczem jest codzienne stawianie oporu i konsekwentne pokazywanie, że rzetelne dziennikarstwo, lepsza polityka, lepszy świat są możliwe – nawet jeśli dziś wydają się odległe.

> RZETELNE DZIENNIKARSTWO, LEPSZA POLITYKA, LEPSZY ŚWIAT SĄ MOŻLIWE – NAWET JEŚLI DZIŚ WYDAJĄ SIĘ ODLEGŁE.

Jacek Żakowski jest publicystą, kierownikiem Katedry Dziennikarstwa i Nowych Mediów Uniwersytetu Civitas w Warszawie, prowadzącym piątkowe audycje publicystyczne „Poranek Radia TOK FM".

eprasa.pl 2dc4a65eb2

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

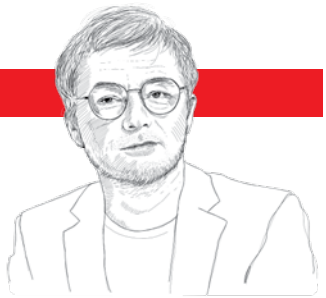

Zapisz się do partii

Jan Wróbel

Zamiast roić o „odpartyjnieniu" Polski, propagujmy postawę aktywnego udziału w życiu partii politycznych. Dzięki fermentowi, który wprowadził do PiS ruch Mateusza Morawieckiego, nie jest to już partia tak nudna jak jeszcze niedawno. Czy to wystarczający powód, by zapisać się do PiS, raczej trudno przesądzić. Na szczęście ugrupowań politycznych mamy w kraju pod dostatkiem.

Koalicja Obywatelska, jak można wnosić z jej aktywności w ostatnich tygodniach, jest za to partią nieżywą. Jej warszawskie struktury zeszły do podziemia, bo na ich czele stoi Marcin Kierwiński, polityk bardzo mocno forowany przez samego premiera. „W moim idealnym świecie", jak mawia klasyk, nic by takie poparcie nie pomogło. Było nie było, to warszawska KO nie zauważyła (?) środowiskowego porozumienia pod banderą Ręka Rękę Myje.

Przed wyborami krzyczało się o transparentnej i uczciwej Polsce. Po wyborach okazało się, że skoro w Warszawie żyje się KO komfortowo, bo jej przewaga nad opozycją jest bezpieczna, to nie ma się co wygłupiać. A teraz pękło. Partia zawiodła, a jej stołecznym szefem jest Kierwiński – bezkarny.

Donald Tusk zawiesił koło krakowskie za niemrawość wykazaną w czasie referendum. Nie zawiesił natomiast koła warszawskiego, a przecież w stołecznym przypadku nie ma nawet co mówić o niemrawości. Partia, owszem, okazała się żwawa, ale w sprawach prywatnych. Tusk pobłogosławił, Kierwiński kiwał głową. I ją zachował.

Jestem fanem partii politycznych. Gdybym mógł, należał bym do kilku (ale – jednak – dziennikarzowi komentującemu politykę jakoś nie wypada). Często się w Polsce bajdurzy na melodię potępiania partyjniactwa jako rzekomo niszczącego kraj. Owszem, nietransparentna grupa wzajemnego wsparcia zazwyczaj ma w nosie interes państwa, w tym sensie „partyjniactwo" bywa określeniem trafnym. Tyle że często kryje się za nim myślenie w ogóle przeciwne partiom, a nie tyle przeciwne konkretnym złym działaniom. Otóż warto sobie powtarzać, że partie polityczne są takim samym filarem demokratycznego państwa jak sądy, policja, edukacja powszechna i urząd gminy. Nie są doskonałe i lepiej krytycznie patrzeć im na ręce. Nie warto natomiast roić sobie, że sądy, policja, szkoły i urzędy będą lepiej działały, kiedy zlikwidujemy partie. Już samo zmarginalizowanie ich znaczenia dla życia kraju przez Donalda Tuska oraz Jarosława Kaczyńskiego, przemienianie partii w bojowe struktury mające walczyć o wynik wyborczy, a między wyborami nie przeszkadzać kierownictwu, zubożyło intelektualnie polską politykę. Nie mówiąc o stopniu jej transparentności. I wypada pamiętać, że termin „partyjniactwo" wylansował w polskich dziejach Józef Piłsudski. Walczył z partiami, bo ograniczały jego dyktaturę.

ZMARGINALIZOWANIE ZNACZENIA PARTII DLA ŻYCIA KRAJU PRZEZ DONALDA TUSKA ORAZ JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO, PRZEMIENIANIE ICH W STRUKTURY MAJĄCE NIE PRZESZKADZAĆ KIEROWNICTWU, ZUBOŻYŁO INTELEKTUALNIE POLSKĄ POLITYKĘ.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Dojechać sygnalistę

Tuż po wybuchu afery Szpitala Południowego na propagandowym zapleczu władzy zapanował wyraźny popłoch. Zdezorientowani dziennikarze nie wiedzieli za bardzo, co robić, więc sięgali po pierwsze lepsze pomysły, nie zawsze szczęśliwie. Przykładowo, Piotr Maślak z TVP Info stwierdził, że przecież **każdy wykorzystałby znajomości**, by szybciej dostać się do lekarza, więc dlaczego czepiamy się polityków Koalicji Obywatelskiej. Reakcje publiki pokazały, że chyba nie była to najlepiej przemyślana linia obrony.

Ludwik Pęzioł

Gdy reflektor mediów skupił się na doktorze Emilu Jędrzejewskim – sygnaliście, który opowiadał w Kanale Zero o zabójczych (dosłownie) skutkach kolesiostwa i nepotyzmu w służbie zdrowia, Donald Tusk opublikował w mediach społecznościowych zakamuflowaną instrukcję mówiącą, że z tego faceta trzeba zrobić osobę niewiarygodną. Sposób, w jaki próbowano ten polityczny „prikaz" wykonać, ujawnił niemal pełny katalog metod medialnego odstrzału stosowanych przez chłopców (i dziewczęta) od brudnej roboty.

I choć pisano i wygłaszano rzeczy, do których jesteśmy już przyzwyczajeni, tym razem te praktyki budziły szczególne obrzydzenie. Czym innym jest bowiem bezwzględna walka z politykiem, dziennikarzem czy nawet upolitycznionym celebrytą, który świadomie wszedł na pole medialnej bitwy, a czym innym jest próba zniszczenia człowieka prawdopodobnie kierującego się poczuciem lekarskiego obowiązku.

„Niewinne" przemilczenia

Pominięcie kluczowych informacji, bez których odbiorcy otrzymywali całkowicie fałszywy obraz sygnalisty, było chyba najmniej niegodziwą z zastosowanych metod. Ponieważ jednak kampania przeciwko Jędrzejewskiemu z dnia na dzień stawała się coraz brutalniejsza, warto zacząć od początku i prześledzić, jak eskalowała.

Odmowa składania zeznań przez sygnalistę w prokuraturze, dzień po występie w Kanale Zero, została w mediach prorządowych przedstawiona jako koronny dowód jego niewiarygodności. Przekaz był prosty: prokurator zadawał pytania, Jędrzejewski milczał, więc gdy przyszło co do czego, nie potrafi wziąć odpowiedzialności za swoje wczorajsze słowa, ergo – u Stanowskiego słyszeliśmy pozbawiony wartości bełkot.

Istotny szczegół w tym przekazie pojawił się dopiero później (o ile w ogóle się pojawił). Otóż pytania prokuratorzy zadawali mimo wcześniejszej deklaracji Jędrzejewskiego, że nie będzie składał wyjaśnień bez obecności pełnomocnika, więc to raczej oni doprowadzili sytuację



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 2024a65eb

do absurdu. Portal fakt.pl nie omieszkał jednak sugerować, że winien jest lęk lekarza. Tymczasem zachowanie Jędrzejewskiego było całkowicie racjonalne. W sprawie uwikłanej politycznie, prowadzonej przez prokuraturę podległą Waldemarowi Żurkowi, ostrożność była raczej przejawem instynktu samozachowawczego niż dowodem niewiarygodności. Tego kontekstu zabrakło jednak w wielu komentarzach. Dziennikarka Dominika Długosz jako jedna z pierwszych podjęła narrację zgodną z polityczną instrukcją Tuska: Jędrzejewski jest niewiarygodny, bo nie chciał zeznawać bez pełnomocnika, którego w dodatku nie miał przy sobie, choć powinien.

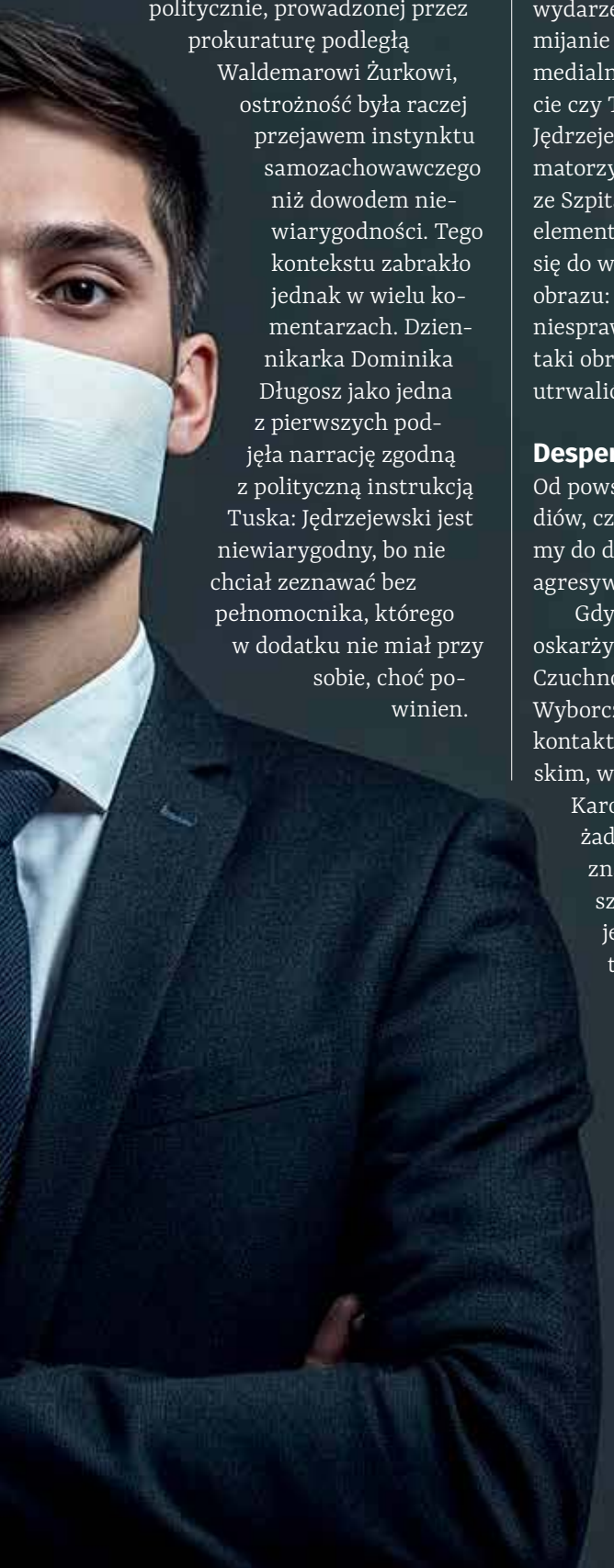

Innych przyczyn nieobecności prawnika Długosz nawet nie rozważała, bo przecież komu chciałoby się przeprowadzać poważną analizę.

Drugim zmieniającym sens wydarzeń przemilczeniem było pomijanie w artykułach i materiałach medialnych (między innymi w Onecie czy TVN) informacji, że relację Jędrzejewskiego potwierdzali informatorzy oraz istotna część lekarzy ze Szpitala Południowego. Bez tego elementu cała historia sprowadzała się do wygodnego dla rządzących obrazu: oto jeden człowiek rzuca niesprawdzone oskarżenia. I właśnie taki obraz konsekwentnie próbowano utrwalić.

Desperacja i dyskredytacja

Od powszedniego grzechu mediów, czyli przemilczenia, przejdźmy do działań znacznie bardziej agresywnych.

Gdy tylko Jędrzejewski publicznie oskarżył Dawida Kacprzyka, Wojciech Czuchnowski na łamach „Gazety Wyborczej" zaczął eksponować jego kontakty ze środowiskiem bokserskim, w którym pojawiał się również Karol Nawrocki. Nie przedstawił żadnego dowodu przesądzającego znajomość lekarza z ówczesnym szefem IPN-u. Wystarczyło jednak samo zasugerowanie takiego tropu z nadzieją, że za jego pomocą uda się skleić lekarza z obozem PiS-u. W rezultacie zamiast dyskutować o przedstawionych faktach, mieliśmy mówić o politycznych intencjach osoby, która je ujawniła. Ta próba nie przyniosła jednak większych rezultatów. Nawet media zwykle przychylne rządowi nie rozwinęły szerzej wątku rzekomych politycznych koneksji Jędrzejewskiego z prezydentem. Najwyraźniej szybko zdano sobie sprawę, że słaby z Jędrzejewskiego pisowiec i zbyt grube nici musiałyby pójść w ruch, by ktoś to „łyknął".

Skoro nie udało się skutecznie przypisać sygnaliście politycznej motywacji, rozpoczęto poszukiwanie innych sposobów. Jednym z nich było tworzenie (pod z góry przyjętą tezę) psychologicznego portretu człowieka o rzekomo wątpliwym charakterze, niewiele różniącego się od samego Dawida Kacprzyka. I tak właśnie dziennikarze TVN24 Iga Dzieciuchowicz i Jakub Stachowiak, bazując na anonimowych źródłach, opisali Jędrzejewskiego jako osobę „arogancką", „potrafiącą manipulować ludźmi" i „lubiącą blichtr". Nieco inną metodę zastosowano w Onecie. Nagłówek: „Media: niejasna przeszłość sygnalisty ze Szpitala Południowego. Handel dyplomami w tle" był skonstruowany z ostrożnością procesową, ale jego zamierzenia były łatwe do odczytania: Jędrzejewski to oszust, a może i przestępca. Nawet jeśli późniejsza lektura nie prowadziła do równie jednoznacznych wniosków, to pierwsze wrażenie zostało już wytworzone.

W podobnym kierunku szedł również tekst Piotra Halickiego z Onetu przedstawiający Jędrzejewskiego niemal wyłącznie przez pryzmat relacji i opinii dla niego niekorzystnych. Krytyczne hipotezy, insynuacje i negatywne oceny nie zostały zestawione z materiałem, który pozwalałby czytelnikowi samodzielnie wyrobić sobie opinię. „Kontrowersyjny doktor", mętna przeszłość, niewyjaśnione sprawy... takiemu facetowi przecież nie można ufać. Problem polegał jednak na tym, że żaden z tych zarzutów (podobnie jak przywoływanie sporu, jaki doktor miał ze szpitalem) nie przekreślał prawdziwości jego słów. Nawet człowiek kierujący się chęcią zemsty za przeszłość może przecież wskazywać prawdziwe fakty.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że wszystko to było wymyślane naprędce, pod ogromną presją czasu. W pierwszych dniach afery najważniejsze nie było przecież rozstrzygnięcie, kto tu mówi prawdę, lecz zwycięstwo w konkurencji o obsadzenie aktorów spektaklu w roli czarnego charakteru. Dlatego w kolejnych publikacjach wyraźnie widać gorączkowe poszukiwanie czegokolwiek, co mogłoby sygnalistę obciążyć: niewygodnej znajomości, dawnego konfliktu, niepochlebnej opinii czy choćby najsłabszej poszlaki pozwalającej zasugerować jego związki z PiS. Operacja się jednak chyba nie powiodła – badanie Res Futura Data House pokazało, że 74% komentarzy w internecie uznawało Jędrzejewskiego za wiarygodnego sygnalistę, 26% zaś za niegodnego zaufania mściciela, co oznacza, że nie udało się go skutecznie oczernić nawet przed wszystkimi wyborcami KO.

Uniwersum konspiracjonistów

Osobną kategorię w podejściu do Jędrzejewskiego i całej afery szpitalnej stanowili publicyści i komentatorzy, którzy całą aferę interpretowali przez pryzmat wielkiej politycznej zmowy. W ich opowieści niemal każde wydarzenie stawało się elementem planu mającego doprowadzić do powrotu PiS do władzy. Były to osoby, które już od dawna posługiwały się schematem dobrze znanym z „filmów z żółtymi napisami", w którym tylko reptilian zastąpowali pisowcy, masonów – Opus Dei, a Nowy Porządek Świata konserwatywna Agenda Europe.

Dobrym przykładem były wideokomentarze Elizy Michalik. Zamiast zastanawiać się nad meritum zarzutów dotyczących Szpitala Południowego, przekonywała, że Koalicja Obywatelska w ogóle nie powinna się z nich tłumaczyć „PiS-owcom". Ta rekomendacja dziennikarki dla rządzących na pierwszy rzut oka mogła dziwić, bo przecież nikt się żadnym „pisowcom" nie tłumaczył. Jej wierni widzowie wiedzieli jednak, że pod pojęciem „pisowców" dziennikarka rozumiała... Kanał Zero. Poza tym Michalik argumentowała, że skoro PiS ma na koncie znacznie poważniejsze afery, odpowiadanie na pytania dotyczące sprawy wartej marne 1,6 mln zł przypominałoby (jak obrazowo ujęła) pozwolenie seryjnemu mordercy i gwałcicielowi rozliczać starszą kobietę, która z głodu ukradła bułkę. Jej zasadnicza rada była prosta: nie wyjaśniać, tylko skuteczniej zarządzać przekazem.

AKCJA OCZERNIANIA SYGNALISTY BYŁA KONSTRUOWANA NAPRĘDCE I NIE PRZEKONAŁA NAWET CZĘŚCI WYBORCÓW KOALICJI OBYWATELSKIEJ.

Podobny sposób myślenia prezentował Jan Piński. Aferę określił jako „pryszcz na d... dinozaura", jednocześnie sugerując, że odpowiedzialności należy szukać przede wszystkim wśród ludzi związanych z poprzednią władzą, ponieważ Narodowym Funduszem Zdrowia wciąż kieruje osoba powołana za ministra Adama Niedzielskiego. W tej samej opowieści Kanał Zero przedstawiony został jako projekt powiązany z ludźmi CBA i element szerszej operacji mającej doprowadzić do zmiany demokratycznej władzy w Polsce. Wynika z tego jasno, że Jędrzejewski to człowiek na ten czy inny sposób „podstawiony" przez służby.

Jeszcze dalej poszedł Tomasz Wiejski, którego kanał śledzi ponad 150 tysięcy subskrybentów. Według niego afera Szpitala Południowego stanowi współczesny odpowiednik afery podsłuchowej, która doprowadziła do osłabienia rządów Platformy Obywatelskiej przed wyborami w 2015 roku. Najbardziej zaskakującym elementem tej konstrukcji było jednak umieszczenie po jednej stronie właściwie wszystkich dużych mediów: od TV Republika i „Gazety Polskiej", przez Rzeczpospolitą i Wirtualną Polskę, aż po TVN i „Gazetę Wyborczą". Sam fakt, że media przychylne obecnej władzy ośmieliły się zadawać politykom KO jakiekolwiek pytania o aferę, został przedstawiony jako dowód istnienia szerokiej zmowy, którego ostatecznym celem miałby być powrót PiS do władzy. A dlaczego miałoby na tym zależeć TVN-owi, „Gazecie" czy „Newsweekowi"? Bo za Tuska wielu z tych dziennikarzy straciło pracę i pieniądze, więc liczą, że wszystko zmieni się po powrocie Kaczyńskiego (sic!).

Pod tymi ślepymi strzałami wymierzonymi w kierunku sygnalisty kryło się coś jeszcze gorszego od standardowego „przyprawienia gęby" – przekonanie, że ludzie na SOR-ach mogą umierać sobie dalej, byle władzy nie spadło w sondażach. Skoro bowiem nie próbujemy ustalić, jak było naprawdę, lecz zamiast tego świadomie dyskredytujemy informatora, trudno wyciągnąć inny wniosek. I właśnie dlatego nazwiska, które padły w tym tekście, mogą (nawet jeśli brzmi to nieco patetycznie) zapisać się na liście hańby polskiego dziennikarstwa.

eprasa.pl 2dc4a65eb2



Proj. K. Karnkowski

Zero litości

Donald Tusk **nie dostrzegł lub nie zrozumiał** zagrożenia, jakim są nowe media. Był przekonany, że siłowe przejęcie telewizji i radia zapewni mu pełną osłonę medialną. Krzysztof Stanowski udowodnił, jak bardzo się mylił.

Mariusz Staniszewski

To, co Kanał Zero i powiązany z nim portal robią z obecnym rządem, można nazwać w zasadzie jednym słowem – orka. No, może dwoma – głęboka orka. To nie tylko ujawnienie afery w Warszawskim Szpitalu Południowym oraz kolejnych skandali w służbie zdrowia, to przede wszystkim odarcie obecnej władzy z nimbu powagi i rozsądku.

Kanał Zero i portal zero.pl nie tylko nie boją się zwarcia z politykami Koalicji Obywatelskiej, ale bardzo chętnie prowokują ich i zachęcają do starć. Chodzi przecież o to, by toczyć bekę i drwić z poważnych min, zapowiedzi, uników czy PR-owskich zagrywek ludzi władzy. W tym starciu spin doktorzy premiera okazują się całkowicie bezradni.

Na chłopski rozum

Przez jednych uwielbiany, przez innych znienawidzony, ale rzadko kto może przejść obok niego obojętnie. Krzysztof Stanowski z pewnością zmienił polskie media. I nie chodzi tylko o stworzenie tak silnego kanału na platformie YouTube, ale o sposób komunikacji z widzem. Stanowski mówi językiem, który jest zrozumiały dla wszystkich. Prostym, często wulgarnym, ale zawsze pełnym emocji. Jeśli przeprowadza polityczną analizę działań władzy, to zawsze robi to w taki sposób, by przyswoili ją sprzątaczka oraz licealista.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Ponad dwie dekady temu podobną rewolucję w polskich mediach przeprowadził dziennik „Fakt". Wówczas teksty tak długo były poprawiane, aż nie sprawiały trudności nawet słabo wykształconym czytelnikom. Nie było tematów tabu i osób nietykalnych. Gazeta miała patrzeć oczami odbiorcy. Od tamtego czasu „Fakt" zmienił się w narzędzie polityczne i stracił wiarygodność.

Kanał Stanowskiego idzie o krok dalej. W czasie, gdy coraz mniej osób czyta, on opowiada politykę, jakby rozmawiał z kumplami przy piwie. Nie są istotne niuanse, polityczne koterie, konwenanse, wymyślne narracje czy zawoalowane intencje. Albo działania polityków są przejrzyste i korzystne dla szarego człowieka, albo nie. Reszta jest bez znaczenia.

W ten sposób Stanowski stał się w Polsce rzecznikiem rozsądku, a może nawet bardziej chłopskiego rozumu. To właśnie zapewnia mu odporność na propagandę i PR-owskie wrzutki. W zderzeniu z prostym, logicznym rozumowaniem władza, której siła opiera się na wielopoziomowym kłamstwie, staje się bezradna.

Pajac na salonach

Stanowski nie boi się śmieszności. Skoro odgrywa rolę błazna, nie robią na nim wrażenia próby odebrania mu powagi – to on jest od wykpiwania innych. Żaden polityk nie jest w stanie konkurować z nim w tych zawodach, bo twórca Kanału Zero bardzo daleko przesunął granicę dobrego smaku.

Nie kryje się ze swoimi słabościami do alkoholu czy eskapadami po nocnych klubach. Próba zdyskredytowania go takimi materiałami nie ma więc szans na powodzenie. Bezczelność połączona z błyskotliwością i inteligencją okazuje się bronią wyjątkowo skuteczną. Jego odbiorcy nawet jeśli dostrzegają, że kreuje się na faceta bez hamulców, to jednak chcieliby prowadzić takie życie jak on – jest przecież człowiekiem sukcesu, szastającym pieniędzmi, ale jednocześnie niby takim samym jak wszyscy. Nie wstydzi się swoich poglądów i nie sili się na intelektualne dysputy. Wali prosto z mostu jak robotnicy na budowie.

> KANAŁ STANOWSKIEGO W CZASIE, GDY CORAZ MNIEJ OSÓB CZYTA, OPOWIADA POLITYKĘ, JAKBY ROZMAWIAŁ Z KUMPLAMI PRZY PIWIE.

Dlatego widzowie chcą go widzieć na swoich weselach, a politycy ochoczo przychodzą nawet na najgłupsze polityczne show, podczas których obrzucają się wyzwiskami i prymitywnymi porównaniami.

Kanał Zero zamienia hejt, jaki na co dzień widzimy w internecie, w rodzaj rozrywki dla mas. Kiedyś tego rodzaju programy – jak choćby „Jerry Springer Show" – biły rekordy popularności w telewizji. Wówczas jednak bohaterami byli zwykli ludzie: zdradzeni mężowie, zazdrosne kobiety itp. Stanowski oddał pole politykom, którzy chętnie wygarną przeciwnikom wszystko, co im leży na wątrobie.

Jakby chciał powiedzieć swoim widzom: może jestem klaunem, ale nie udaję. Oni silą się na powagę, ale są jeszcze gorsi.

Bez plakietki

To wszystko ma tylko jeden cel – wywoływać emocje. Prawdziwe, które są w stanie porwać widzów, zająć ich umysły i powodować, że powiedzą: zawsze myślałem w ten sposób, ale nie potrafiłem swojego zdania tak dobrze wyrazić.

Sukces Kanału Zero wprost wynika z charyzmy Krzysztofa Stanowskiego, jego instynktu i warsztatu. Ta personalizacja jest siłą, którą niewiele mediów może dziś się pochwalić. Kiedyś taki magnetyzm – oczywiście u innych odbiorców – miał Tomasz Lis. Kierowane przez niego tygodniki sprzedawały się w setkach tysięcy, przynosiły pieniądze i kształtowały opinię mas.

Czar prysł, gdy Lis otwarcie stał się klakierem Donalda Tuska. Jednoznaczna afiliacja polityczna odebrała mu wiarygodność i ostatecznie doprowadziła do marginalizacji. Jeszcze przed chorobą Tomasz Lis stał się tylko jednym z wielu prymitywnych, pozbawionych obiektywizmu i zdrowego rozsądku gęgaczy.

Stanowski, choć ma raczej poglądy konserwatywne, to jednak jak ognia unika przypięcia do jednej strony sporu politycznego. Dlatego nie unika kpienia z polityków PiS i prezydenta. Choć rzecz jasna głównymi bohaterami jego politycznego show są ludzie z obozu władzy.

Dopóki będzie utrzymał dystans do obu zwaśnionych stron, dopóty jego media będą się rozwijać. Doskonale rozumie to ekipa Tuska, która od ponad dwóch lat próbuje przypiąć szefowi Kanału Zero łatkę pisowca lub aferzysty. Miał być za pan brat z Danielem Obajtkiem czy brać pieniądze z firmy Zondacrypto, którą władza próbuje powiązać z pra-

eprasa.pl 2dc4a65eb2

wicą. Na razie Stanowski się obronił, a Roman Giertych, który zaciekle go atakował, został ośmieszony.

Na poważnie

Kanał Zero to jednak nie tylko błazenada, a może nawet nie przede wszystkim. Udało się tu stworzyć forum wymiany poglądów, gdzie nie obowiązuje cenzura. Polityczna, towarzyska czy językowa. Można mówić ostro na bardzo poważne tematy. Bez tabu i znieczulenia.

Przełomem było zbudowanie portalu zero.pl. Tam już nie ma zabawy, ale zaczęło się poważne dziennikarstwo. Niezależność Stanowskiego przyciągnęła kilka znanych nazwisk, które w innych mediach czuły presję polityczną czy towarzyską, a właściwie obie jednocześnie.

To jednak oznaczało wejście na zupełnie inną drogę – kolizyjną z obecnie rządzącymi. Dla nich Kanał Zero i portal zero.pl stały się realną przeszkodą w utrzymaniu władzy. Ujawniane kolejne afery spowodowały największy kryzys od czasu objęcia rządów.

Siła Stanowskiego nie polega jednak tylko na tym, że budzi zaufanie odbiorców, a rzetelni dziennikarze obnażają gorsze, a często ohydne oblicze polityki. Równie ważne jest kreowanie trendów w internecie. Milionowe zasięgi Kanału Zero powodują, że podejmowane przez niego tematy wywołują ogromny ruch w sieci. Nawet te media, które wspierają władzę, muszą się z tym liczyć. Gdy próbują przemilczeć afery ujawnione przez Zero, po prostu zostają w tyle. Ścigając się o czytelników i widzów, muszą więc podejmować te same tematy co media Stanowskiego, a to wprost uderza w Tuska.

Zanim władza to zrozumiała, było już za późno. Kanał Zero stał się potęgą, która z konfrontacji z politykami zrobiła swój znak rozpoznawczy. Rozumiejąc, że tego właśnie domagają się rozochoceni widzowie i czytelnicy.

EKIPA DONALDA TUSKA OD PONAD DWÓCH LAT PRÓBUJE PRZYPIĄĆ SZEFOWI KANAŁU ZERO ŁATKĘ PISOWCA LUB AFERZYSTY.

Zyski z polaryzacji

Krzysztof Stanowski jest w pewnym sensie produktem podziału Polski na dwa obozy. Ciągnący się od dwóch dekad konflikt plemienny tak mocno rozpalił polityczne emocje, że zmagania PiS i PO/KO dla wielu zamieniły się w serial. Czasem jest to tylko mydlana opera, ale zdarza się, że zmienia się ona w ostry kryminał, melodramat czy obyczajówkę. Z jednej strony Polacy chcieliby zakończenia tego sporu – dlatego w mediach Zero obecni są przedstawiciele różnych środowisk prezentujący odmienne poglądy polityczne, ale z drugiej nikt nie chce złożyć broni, zawrzeć rozejmu i wybaczyć przeciwnikowi. Krzysztof Stanowski zapewnia im więc rozrywkę, jakiej oczekują.

KANAŁ ZERO STAŁ SIĘ POTĘGĄ, KTÓRA Z KONFRONTACJI Z POLITYKAMI ZROBIŁA SWÓJ ZNAK ROZPOZNAWCZY.

Można powiedzieć, że skomercjalizował sposób prowadzenia polityki przez dwa walczące ze sobą obozy. Partyjni liderzy w ten sposób zapewniają sobie władzę, Kanał Zero ciągnie z tego kasę. Oczywiście w pewien sposób wszystkie media zarabiają na konflikcie, jednak żadne do tej pory nie zamieniło go w przedstawienie, które strywializowałoby politykę, ale też do bólu pokazało jej jałowość.

Żadna władza nie lubi, gdy odbiera się jej powagę. Szczególnie wrażliwa jest jednak lewica, gdyż jej najistotniejszym instrumentem jest zacieranie rzeczywistego znaczenia słów i działań. Pod płaszczykiem walki o klimat realizuje na przykład interesy wielkich korporacji, a głosząc hasła edukacji, próbuje zmienić system wartości młodych ludzi.

W zderzeniu z „chłopskim rozumem" te zabiegi nie mają szans. Stają się śmieszne i żałosne. Dlatego Kanał Zero będzie zwalczany do końca kadencji. Zamknięcie w areszcie dziennikarza śledczego Leszka Kraskowskiego czy najście na mieszkanie Tomasza Sakiewicza pokazują, że władza może posunąć się daleko.

Donald Tusk już chyba jednak zrozumiał, że Krzysztof Stanowski także z prowokacji potrafi zrobić show. Tak było z próbą ośmieszenia go podjętą przez Zbigniewa Stonogę. Ostatecznie to szef Kanału Zero zastawił pułapkę na prowokatora i zrobił z niego idiotę.

Autor jest redaktorem naczelnym serwisu wGospodarce.pl.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Zniewalanie myśli

Monika Małkowska



Fot. Adobe Stock

Tytuł niniejszego tekstu odnosi się do „Zniewolonego umysłu" Czesława Miłosza, zbioru esejów będących wyrazem dezaprobaty wobec sposobu myślenia prosowieckich zwolenników w PRL. Traktat opublikowany w 1953 r. przez Instytut Literacki w Paryżu w ojczyźnie pisarza funkcjonował tylko w drugim obiegu. Po upadku komunizmu, po 1989 r., eseje uznano za „zapis historii".

Indyferentni

Niesłusznie – sposoby zniewalania umysłów wciąż pozostają te same. Głównym tego narzędziem są media, o niezawisłość których walka toczy się od kilkudziesięciu lat z różnym skutkiem. W Polsce dwóch najbardziej spektakularnych zamachów na środki masowego przekazu i ich przejęcia przez siły, które aktualnie dorwały się do władzy, dokonano w grudniu 1981 i w grudniu 2023 r. Momenty wybrane nieprzypadkowo: przed Bożym Narodzeniem rodacy są pochłonięci przygotowaniem do świąt. Poza tym jest zimno, ciemno i tłok w sklepach. Mało komu chce się w takich warunkach wychodzić na barykady. Zresztą w imię czego? Żeby mieć dostęp do „prawdy"? Ale ona nie wszystkim jest potrzebna. Konstatuję to ze smutkiem – jest na nią coraz mniejsze zapotrzebowanie. W porównaniu z latami 70. i 80. w III RP Polacy stali się indyferentni wobec nadużyć władzy. Coś, co kiedyś mogło zaowocować gniewnym, strajkowym wzmożeniem, teraz kwituje się wzruszeniem ramion. Na górze kradną, to i nam wolno. Może dlatego z mediów głównego nurtu zniknęli dziennikarze śledczy? Gatunek dla szefów medialnych korporacji zbyt ryzykowny, dla mediaworkerów zbyt czasochłonny, więc nieopłacalny. W dodatku niedawny przypadek Leszka Kraskowskiego tropiącego grube przekręty Romana Giertycha, osadzonego w areszcie na trzy miesiące (zwolnionego po miesiącu dzięki kaucji wpłaconej przez redaktora TV Republika Tomasza Sakiewicza) może stanowić skuteczne zniechęcenie do zajmowania się „wszystkimi ludźmi premiera". Znamienne były zwłaszcza reakcje prorządowych mediów – wzięto pod lupę nie temat główny, lecz małżeńskie relacje redaktora. Że podobno przemocowiec – to mniejsza z tym, co ujawnia, o zajęcie się czym apeluje od lat.

Najsłynniejsze afery świata

Jeszcze pół wieku temu „czwarta władza", czyli media (głównie poczytne, wysokonakładowe gazety), była prawdziwą potęgą, stawianą w szeregu obok władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Nawet więcej – ta czwarta władza sprawowała kontrolę nad trzema pozostałymi, więc de facto była w demokratycznych krajach organem nadrzędnym. Oczywiście chodziło o środki masowej komunikacji niezależne od przekazu narzucanego przez polityków czy biznes.

Bodaj największą rolę wolne media spełniły w USA. Chyba każdy słyszał o aferze Watergate, w efekcie której prezydent Richard Nixon ustąpił ze stanowiska. Szwindle ekipy prezydenta ujawnili dwaj dziennikarze „The Washington Post" na bieżąco relacjonujący odkrycia. Kiedy udało im się przekonać szefów, dostali od nich pełne wsparcie, dodatkową kasę na śledztwo oraz pierwsze strony gazety. Wspomniani dziennikarze cały przebieg wydarzeń spisali w książce, na podstawie której Alan Pakula nakręcił obraz „Wszyscy ludzie prezydenta". Ten film z 1976 r. obsypano Oscarami i innymi prestiżowymi nagrodami, ale nie to było najważniejsze – o wiele bardziej istotne stało się ośmielenie dziennikarzy w ujawnianiu nadużyć i korupcji wśród polityków. Wydaje się, że właśnie początek lat 70. i ciągnąca się beznadziejna wojna w Wietnamie pod rządami Nixona okazały się przełomowym momentem dla

eprasa.pl 2dc4a65eb2



wyznaczania nowych dziennikarskich standardów. Problemem walki o wolność prasy zajął się też Steven Spielberg w filmie „Czwarta władza" (2017). Tym razem chodziło o aferę zwaną „Pentagon Papers" dotyczącą oszust związanych z wojną w Wietnamie. Znów „The Washington Post", w skrócie „Post" (z tym samym naczelnym Benem Bradleem), stał się pozytywnym bohaterem, sprzeciwiając się zakazom federalnych władz i upubliczniając przekręty.

Drugi obieg czwartej władzy

Przenieśmy się na nasze podwórko. W PRL-u wszystkimi oficjalnymi mediami zawiadowali partyjni szefowie, choć czołowe pisma były bardziej „po linii i na bazie", a różne niskonakładowe, mniej poczytne periodyki miały pewną pulę swobody. Podobnie w radiu i telewizji: tubą rządową był I Program Polskiego Radia, Trójka zaś uchodziła za wolnościowy wentyl. I znów – telewizyjna Jedynka mocniej przykręcała ideologiczną śrubę, w Dwójce zaś czasem powiewało Zachodem. W latach 70., po powstaniu KOR (Komitet Obrony Robotników), pojawiły się pisma podziemne, takie jak „Biuletyn Informacyjny" czy „Robotnik", wydawane domowym sumptem w niewielkim nakładzie. Plusem było nieingerowanie w treści cenzury. Po ogłoszeniu stanu wojennego i delegalizacji Solidarności drugi obieg dosłownie eksplodował. W latach 80. pojawiło się ok. 2 tys. tytułów drukowanych na powielaczach w zakładach pracy, przez studentów, w regionach, aż po tytuły ogólnokrajowe (z naszym „Tygodnikiem Solidarność" na czele). Co ciekawe, wciąż wychodziły oficjalne periodyki, np. adresowane do ludzi zainteresowanych sztuką i designem, w których w aluzyjny sposób manifestowano niezgodę na polską rzeczywistość. Sztandar wizualnego buntu niósł magazyn „Projekt" (powstały w 1956 r. na fali odwilżowego poluzowania), grafikami na okładkach dający do zrozumienia, co redakcja sądzi o bezprawiu w kraju. Niektórzy członkowie redakcji będący w opozycji do władz (Andrzej Osęka, Danuta Wróblewska) skrzykiwali podobnie myślących w nieistniejącej już galerii Forma (Warszawa, oficyna przy ul. Jasnej). Władze z pewnym opóźnieniem zareagowały na te prowokacje, po kilku miesiącach takiej samowolki redakcję periodyku rozwiązano, a galeria Forma zniknęła na zawsze z mapy Warszawy.

SPOSOBY ZNIEWALANIA UMYSŁÓW WCIĄŻ POZOSTAJĄ TE SAME. GŁÓWNYM TEGO NARZĘDZIEM SĄ MEDIA.

Weryfikacja podatności na korupcję

O wiele szybciej rządzący zabrali się za dziennikarzy głównego nurtu. Czystki stanu wojennego nazwano elegancko „weryfikacją". Redaktorzy byli wzywani na rozmowę prowadzoną przez komisję weryfikacyjną złożoną przez ideologów komitetów wojewódzkich PZPR, cenzorów i zaufanych partyjnych dziennikarzy. Jak można wyczytać w książce „Urban. Biografia": „Za brak zdecydowanej postawy wobec przeciwników politycznych można dostać

eprasa.pl 2dc4a65eb2

zakaz wykonywania zawodu, stracić kierownicze stanowisko lub zostać odsuniętym od pisania o sprawach społeczno-politycznych". Z funkcjonariuszem KC pertraktował Jerzy Urban, bystrze zauważając, że szkoda się wyzbywać najlepszych dziennikarzy, nawet jeśli nie reprezentują linii partii: „[...] oni odejdą, a skur***le złożą galante deklaracji lojalności" – argumentował rzecznik rządu, także publicysta „Polityki". Po wprowadzeniu stanu wojennego tygodnik „Polityka" miał zaledwie dwumiesięczną przerwę. Wrócił do kiosków 20 lutego 1982 r. wydaniem opatrzonym zdjęciem żołnierza na tle czołgów i tekstem redaktora naczelnego pisma Mieczysława F. Rakowskiego tłumaczącym, że stan wojenny położył kres anarchii i chaosowi w kraju.

sław Rakowski (sprawdzony członek PZPR), który załatwił swojej załodze „bezweryfikacyjne" trwanie. Niech sami zdecydują – zostają czy nie. Wielu korzystało z tej furtki, choć to był swego rodzaju wyrok skazujący na prawie podziemie. Ale dzięki temu rozkwitły intelektualnie pisma typu „Niewidomy Spółdzielca" (w którym znaleźli azyl m.in. Michał Radgowski, Jacek Maziarski, Dariusz Fikus, Stefan Bratkowski) czy „Wiadomości Wędkarskie" (wzmocnione piórem Hanny Krall) lub „Przegląd Organizacji" (przytulisko Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego). W 1982 r. Rakowski żegna się z „Polityką" bez fanfar – zbyt pochłaniają go obowiązki wiceprezesa, potem prezesa Rady Ministrów w rządzie Wojciecha Jaruzelskiego. Dodajmy, że redaktor-polityk

towanych audycji publicznego radia – na co te ostatnie musiały szybko zareagować. Podobnie publiczna telewizja dopuściła luźniejszy styl w wielu programach. Jednak główne wiadomości musiały być przygotowane „po staremu". Nad doborem newsów i komentarzem czuwał ktoś „odpowiedzialny". Wydarzeniem, które urosło do rozmiaru symbolu wolności w mediach, stało się opuszczenie (na wizji) studia przez Aleksandrę Jakubowską prowadzącą główny serwis informacyjny TVP: dziennikarka wstała i zabrała torebkę w proteście przeciwko politycznej zmianie kierownictwa „Wiadomości" (w 1991 r. przewodniczącego Radiokomitetu Andrzeja Drawicza zastąpił na stanowisku Marian Terlecki). Ta historia z panteonu telewizyjnych anegdot pokazuje nie tylko dzielność publicystki (która, jak wiadomo, indywidualnie przeszła wewnętrzną transformację), lecz także ogólną świadomość. Wydawało się, że media już nie są i nie będą tubą propagandową rządzących. W dodatku od 1997 r. wolność prasy i wypowiedzi miała gwarantować nasza nowa konstytucja. Szczególne prawa przyznano prasie. Tzw. prawo prasowe, zgodnie z którym „prasa korzysta z wolności wypowiedzi i urzeczywistnia prawo obywateli do rzetelnego informowania, jawności życia publicznego, kontroli i krytyki społecznej". Natomiast niezależnością przekazu w radiu i TV zajmuje się Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Ów organ ma kontrolować „samodzielność nadawców i interesów odbiorców oraz zapewniać otwarty i pluralistyczny charakter radiofonii i telewizji". Warto przytoczyć te postulaty w kontekście tego, co zdarzyło się w mediach już

> JESZCZE PÓŁ WIEKU TEMU „CZWARTA WŁADZA" BYŁA PRAWDZIWĄ POTĘGĄ STAWIANĄ W SZEREGU OBOK WŁADZY USTAWODAWCZEJ, WYKONAWCZEJ I SĄDOWEJ.

Do Solidarności naczelny odnosił się wrogo, uważając ten związek za główną przyczynę destabilizacji w Polsce. Niestety, prawie połowa załogi miała odmienne zdanie. Jednak podobne „wyjaśnienia" publikowano w innych mediach „dla inteligentów" – m.in. „Życiu Literackim", „Argumentach", „Przeglądzie Tygodniowym". Mam wrażenie, że pobratymcy tamtych konformistów dziś przymykają oko na afery rządu Donalda Tuska.

Z „Polityki" do... polityki

Na „Politykę" i jej opinie nakierowana była uwaga większości. Ten „tygodnik dialogu" miał za PRL ogromną siłę oddziaływania. W stanie wojennym naczelnym wciąż pozostawał Mieczy-

napisał generałowi tekst wystąpienia tłumaczącego przyczyny wprowadzenia stanu wojennego. Musiało być profesjonalne, a on to umiał.

Nasza dziennikarska niezależność

Sytuacja w polskich mediach radykalnie zmieniła się po ustrojowej transformacji. Media miały być wyczyszczone z indoktrynacji, a już na pewno z propagandy sukcesu, tak charakterystycznej dla lat 70. Bodaj największe zmiany zaszły w radiu – w latach 90. powstawały liczne niezależne „amatorskie" radiostacje, w których programy prowadzone na żywo stały się konkurencją dla tradycyjnych, nagrywanych i mon-

eprasa.pl 2dc4a65eb2

w drugiej dekadzie po odzyskaniu „wolności”.

Historia pewnej gazety

Od początku transformacji na polski rynek medialny wkroczyły kapitał zagraniczny i zachodnie koncerny. Początkowo dotyczyło to prasy kobiecej i lifestylowej. Pierwszą poważną gazetą kupioną przez obcy kapitał okazało się „Życie Warszawy”, istniejące od 1944 r., zawieszone od stycznia 1982 r. I oto dziennik odrodził się jak feniks z popiołów w 1991 r. dzięki spółce Życie Press należącej do sardyńskiego potentata Nicoli Grausa. To było coś nowego: przyciągający uwagę layout, wielkie zdjęcia, połączenie poważnych problemów z lekkimi. Jednak Grauso po kilku latach nie wytrzymał finansowania tego biznesu. W grudniu 2011 r. upadłe „Życie...” połknęła „Rzeczpospolita” drukująca warszawski dodatek jako wkładkę do głównego wydania gazety. „Rzeczpospolita”, ogólnopolski dziennik o profilu – w założeniu – konserwatywno-liberalnym, narodziła się w 1920 r. i w różnych odsłonach trwa do dziś. W latach 90. i następnej dekadzie stanowiła opozycję wobec libero-lewicowej „Gazety Wyborczej”. Strażnikiem rzetelności gazety był Maciej Łukasiewicz, dawny opozycjonista, który doświadczył „negatywnej weryfikacji” w stanie wojennym, by później publikować w drugim obiegu, naczelny „Rzepy” od 2000 do 2004 r. Gazeta po mariażu (finansowym) z francuską grupą prasową Roberta Hersanta w 1991 r. przeobraziła się w spółkę Presspublica. W 1996 r. została sprzedana norweskiemu koncernowi Orkla, w 2006 r. odkupiona przez brytyjską spółkę Mecom Group. Tę zaś spółkę nabył w 2011 r. polski przedsiębiorca Grzegorz Hajdarowicz, spłacając zarówno Mecom, jak i udziały Skarbu Państwa, tym samym stając się 100-procentowym udziałowcem wydawnictwa Presspublica, włączonego do spółki Gremi Media S.A. W 2023 r. znów zaszła zmiana: Gremi Media trafiły do portfolio funduszu Pluralis B.V. należącego do miliardera George’a Sorosa. To o jakiej niezależności tej gazety może być mowa?

CHYBA KAŻDY SŁYSZAŁ O AFERZE WATERGATE, W EFEKCIE KTÓREJ PREZYDENT NIXON USTĄPIŁ ZE STANOWISKA.

Koniec parasola ochronnego

Pamiętam lata dwutysięczne w „Rzeczpospolitej”, jeszcze wtedy gazecie opozycyjno-konkurencyjnej wobec „Gazety Wyborczej”. Elitę zespołu redakcyjnego stanowili dziennikarze śledczy tropiący „wykrzaczenia” naszych władz. Mieli zapewniony parasol ochronny ze strony szefów i przyzwolenie na wielodniowe/wielotygodniowe drążenie tematu. Po nabyciu gazety przez Hajdarowicza po śledczych nie zostało śladu... Co zabawne – mnie też zdarzało się zmierzyć z przekrętowiczami, choć tylko na niwie sztuk wizualnych. W 2012 r. napisałam o szwindlu w art-biznesie pod nazwą Dom Aukcyjny Abbey House. Po publikacji dostałam pismo od adwokata firmy z groźbami: „[...] wyznaczam Pani 7-dniowy termin od otrzymania niniejszego pisma na usunięcie artykułu dotyczącego Spółki [...] W razie niezastosowania się do wezwania Spółka zmuszona będzie poszukiwać ochrony prawnej [...] na drodze postępowania sądowego”. W gruncie rzeczy śmieszny straszak. Jasne, że niczego nie wycofałam – a niedługo potem firma Abbey House została sprzedana Rosjanom i słuch o niej zaginął. Jednak co najgłębiej poruszało – kompletny désintéressement ze strony szefów redakcji. W konfrontacji z prawnikami szwindlarzy (jak się rychło okazało) miałam radzić sobie sama. Podobnie jak z o wiele poważniejszym tematem – „Mafią bardzo kulturalną” oraz z problemem doktoratów robionych „na krzywy ryj” na Wydziale Sztuk Wizualnych warszawskiej ASP, aferą wyprzedzającą o kilka lat przekręt z lewymi dyplomami MBA w Collegium Humanum. Po tych tekstach straciłam pracę praktycznie wszędzie. Dla porządku: z „Rzepy” sama zrezygnowałam. Ale ważna jest reguła – w przeciwieństwie do bossów z „The Washington Post” w naszych „wolnych” mediach nie chroniono autorów poruszających „smrody” na różne sposoby powiązane z liberalną władzą.

OD 1997 R. WOLNOŚĆ PRASY I WYPOWIEDZI MIAŁA GWARANTOWAĆ NASZA NOWA KONSTYTUCJA. SZCZEGÓLNE PRAWA PRZYZNANO PRASIE.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zbigniew Brzeziński należał do najwybitniejszych strategów zimnowojennej polityki Zachodu. W wywiadzie opublikowanym w **nr. 14 (185) „Tygodnika Solidarność” z 3 kwietnia 1992 roku** analizował geopolityczne skutki rozpadu ZSRR, przekonywał o kluczowym znaczeniu niepodległej Ukrainy dla przyszłości Europy oraz stanowczo opowiadał się za rozliczeniem komunistycznych zbrodniarzy. Rozmowa pokazuje również jego spojrzenie na relacje Polski z sąsiadami oraz wyzwania gospodarcze pierwszych lat transformacji. Dziś przypominamy ten wywiad z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność”.

Przeciw zbiorowej nieodpowiedzialności

*ze **Zbigniewem Brzezińskim** rozmawiają **Lech Dymarski** i **Andrzej Gelberg***

– Co skłoniło Pana do kolejnej wizyty w Polsce?

– Przede wszystkim chęć zapoznania się z obecną sytuacją, zważywszy, że jest tu nowy rząd i następują zmiany w pewnych zakresach programu gospodarczego poprzedniego rządu, no i biorąc pod uwagę niepokoje, jakie się wytworzyły na Zachodzie co do całokształtusytuacji politycznej w Polscc.

– W książce „Cztery lata w Białym Domu” opisał Pan wysiłki polityczne na rzecz zażegnania inwazji sowieckiej w Polsce w grudniu 1980 r., w czwartym miesiącu istnienia Solidarności. Kilka dni temu generał Dubynin wyjawił, że armia sowiecka była gotowa do inwazji rok później, gdy gen. Jaruzelski wprowadzał stan wojenny.

– Jest to prawdopodobnie nieporozumienie co do dat, dlatego że o ile wiem, gen. Dubynin był swojego czasu dowódcą dywizji gdzieś na Białorusi i podejrzewlm, że on po prostu pamięta wypadki nie z grudnia 1981, ale z grudnia 1980. Notabene nawet w komentarzach polskich na temat ewentualnej inwazji sowieckiej następuje pomylenie dat i mówi się, jakoby miało to się stać w 1981 r. Natomiast w grudniu 1980 widzieliśmy dokładnie dyslokację wojsk sowieckich: miałem na biurku zdjęcia czołgów sowieckich już na pozycjach wypadowych na samej granicy; pułki spadochroniarzy ładowano na transportery, pamiętam namioty szpitali polowych rozwinięte pod Kaliningradem. W pierwszym rzucie miało wejść do Polski 17 dywizji sowieckich – w sobotę rano, a w niedzielę, w drugim rzucie, miało doszlusować dziewięć plus dwie czeskie i jedna wschodnioniemiecka. Tak było w grudniu 1980 i to wszystko wymagało dużych przygotowań logistycznych, koncentracji sił i tak dalej. Jest po prostu niemożliwe, by operacja mogła być powzięta rok później (14 XII 1981– jak to twierdzi gen. Dubynin) bez poprzedzających ruchów wojsk, natężenia łączności, wyższego stanu gotowości bojowej i bez zauważenia przez nas tych szczegółowych ruchów, o których wspominałem.

– Mamy tu więc do czynienia z próbą pisania historii na nowo?

– Zdaję sobie sprawę z tego, że gen. Dubynin posiada wielkie dary humanistyczne, ale nie wiedziałem, że ma zainteresowania historyczne. Skłonny jestem jednak sądzić, że nastąpiła tu po prostu pomyłka pamięciowa.

eprasa.pl 2dc4a65eb2


Już po demokracji? Już po apartheidzie? Już po Horteksie? Już po Boberze? Gdzie jest Polska Siła?

Tygodnik Solidarność

Nr 14 (185) Rok V
3 kwietnia 1992
Cena 3500 zł

Przeciw zbiorowej nieodpowiedzialności

HORTEX kliniczny przypadek fikcji?


Już nie ma DEMOKRACJI

Przeciw zbiorowej

nieodpowiedzialności

Imperium nie istnieje

– W książce „Plan gry" wspomina Pan mapę na ścianie gabinetu Gromyki. Mapa była narysowana w taki sposób, jakby reszta świata widziana była poprzez kontur ZSRR. Czy ktoś dzisiaj w Moskwie używa takiej mapy?

– Mapa, na którą pan Gromyko patrzył, miała w swoim głównym środkowym zarysie imperium sowieckie, a w centrum tego imperium oczywiście było państwo rosyjskie. Obecnie ta mapa jest dużo mniejsza i prawdopodobnie będzie jeszcze się zmniejszać w przyszłości. Imperium nie istnieje na zewnątrz i jest w stanie likwidacji wewnątrz. To zmienia sytuację geopolityczną w sposób zasadniczy, a największą zmianą wśród tych przemian jest powstanie państwa ukraińskiego. Jeśli państwo ukraińskie się utrzyma (a sądzę, że tak), oznaczać to będzie koniec mocarstwa rosyjskiego. To jest potencjalnie, z punktu widzenia geopolitycznego, największa przemiana na mapie kontynentu od czasu upadku Europy imperialnej po I wojnie światowej, kiedy w roku 1918 powstały nowe państwa z Polską na czele.


Zbigniew Brzeziński (po prawej) w redakcji „Tygodnika Solidarność", Warszawa, 1993 r.

Fot. T. Gutry

– Czy Zachód, a w szczególności USA, powinny się angażować w proces powstawania nowej mapy po ZSRR?

– Na ten temat zdania są podzielone. Niektórzy uważają, że głównym ośrodkiem zainteresowania Zachodu powinna być przede wszystkim sama Rosja – wskazują na konieczność skoncentrowania się na budowaniu demokratycznego państwa rosyjskiego. Cel taki popieram, ale uważam, że powstanie demokratycznego państwa rosyjskiego jest w najlepszym wypadku kwestią dalszej przyszłości, a w najbliższym czasie najpoważniejszą sprawą jest powstanie postimperialnego państwa rosyjskiego o charakterze etniczno-narodowym, ale już nie imperialno-mocarstwowym. Aby to się stało faktem, potrzebna jest niezależna i stabilna Ukraina. Powstanie Ukrainy oznacza przedefiniowanie istoty samej Rosji, bo pojęcie Rosji priez Rosjan jest dwuznaczne. Z jednejstrony jest ona odpowiednikiem tego,

eprasa.pl 2dc4a65eb2

co – powiedzmy – Anglicy nazywają Anglią, ale w drugim sensie znaczy to, co Anglicy nazywają Wielką Brytanią. Z tym że w wypadku Rosji to sarno słowo dotyczy obu znaczeń. Jeśli będzie niezależna Ukraina, to „Rosja” staje się odpowiednikiem „Anglii”, a przestaje być odpowiednikiem „Wielkiej Brytanii”.

IMPERIUM NIE ISTNIEJE NA ZEWNĄTRZ I JEST W STANIE LIKWIDACJI WEWNĄTRZ.

– A więc natychmiastowe uznanie niepodległego państwa ukraińskiego przez Polskę było słuszne i dyktowane także polskim interesem?

– Tak, to był akt o dużym znaczeniu historycznym i bardzo na czasie.

– Miał Pan na to jakiś wpływ?

– Trudno mnie jest to ocenić.

– A stosunki z Litwą? Dlaczego nie układają się najlepiej?

– Jeśli można w sposób obiektywny ocenić bezpośrednią odpowiedzialność za wypłynięcie na wierzch konfliktu, to w wąskiej perspektywie prawdopodobnie Litwini są bardziej odpowiedzialni niż Polacy, bo pewne kroki podjęte przez stronę litewską były zupełnie niepotrzebne. Ale jeśli spojrzeć na sprawę w szerszej – historycznej perspektywie, to można zrozumieć reakcje Litwinów. W ich definicji samostanowienia zawiera się również obrona przed polonizacją. Oni to tak rozumieją, taka jest ich historia i przez to są przeczuleni na gruncie stosunków z Polską. Strona polska – moim zdaniem – musi się odznaczyć wstrzemięźliwością i cierpliwością. Polsce Litwa nie zagraża, Polska nigdy nie stanie się częścią Litwy, nigdy nią nie była. Natomiast z punktu widzenia Litwinów (niezależnie od tego, czy mają rację, czy nie), Polska jest źródłem pewnego niebezpieczeństwa. Dlatego też wszelkie polskie reakcje, nawet na akty niesprawiedliwości w stosunku do Polaków mieszkających na Litwie mają inny wyraz, niż gdyby coś podobnego następowało ze strony Polski w stosunku do Litwinów. Zdaje mi się więc, że polska strona musi tutaj wykazywać umiar i cierpliwość.

Musi być odpowiedzialność za zbrodnie

– Panie Profesorze, problem dekomunizacji ma już w Polsce swoją historię. Wcześniej jej potrzebę głosiło Porozumienie Centrum, a zupełnie niedawno konferencję na ten temat zorganizowała zbliżona do Unii Demokratycznej Fundacja Batorego, zapraszając do dyskusji niedawnych prominentów PZPR. Gość z Czechosłowacji, pan Czarnogórski wyznał, że u nich o dekomunizacji już się nie dyskutuje, bo ją przeprowadzono. U nas, jak się zdaje, z biegiem czasu coraz słabiej się rozumie, o co w tej dekomunizacji chodzi. Jak Pan to obecnie widzi?

– Tak samo jak i poprzednio. W sprawie dekomunizacji nie można stosować zasady odpowiedzialności zbiorowej. Nie można jednocześnie stosować zasady nieodpowiedzialności zbiorowej. Ja nie jestem zwolennikiem list proskrypcyjnych, jakichś masowych zakazów i kar. Uważam natomiast, że w społeczeństwie demokratycznym musi być odpowiedzialność za zbrodnie. To jest absolutnie konieczne i bez tego nie ma praworządności. Wiem, że nadal żyją w Polsce ludzie, których nie waham się nazwać zbrodniarzami czy też zdrajcami, którzy brali bezpośredni i czynny udział w torturowaniu czy mordowaniu tych, którzy odważyli się walczyć o niepodległość Polski. Żyje polski odpowiednik Andrieja Wyszyńskiego, prokuratora z najgorszych procesów stalinowskich – pan Zarakowski. Świadomie wymieniam jego nazwisko. Żyją wyżsi oficerowie UB, którzy brali czynny udział w mordach i torturach oficerów AK. Ja ich uważam za przestępców, ja ich uważam za zbrodniarzy, za osoby, które powinny być pociągnięte do odpowiedzialności z tych samych powodów, dla których sądzeni są uczestnicy zbrodni hitlerowskich.

POLSCE LITWA NIE ZAGRAŻA, POLSKA NIGDY NIE STANIE SIĘ CZĘŚCIĄ LITWY, NIGDY NIĄ NIE BYŁA.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

– Właśnie, sprawa uczestnictwa. Na wspomnianej konferencji o dekomunizacji zaryzykowano „hipotezę roboczą", że winni są wszyscy. Wielu polskich intelektualistów rozbudowuje to w ten sposób, że rozgraniczenie bierności, zaniechania i udziału właściwie nie jest już możliwe, bo na przykład – jaką skalą mierzyć uczestnictwo w zbrodni poprzez udział w propagandzie?

– Sądzę, że w tych sprawach trzeba rozumować logicznie, a nie demagogicznie. Co to znaczy „udział w propagandzie", a co znaczy mordowanie i torturowanie – czy to są rzeczy do siebie podobne? Ja już wyraźnie powiedziałem, że uważam odpowiedzialność zbiorową za rzecz nie do przyjęcia, jednocześnie nie do przyjęcia jest nieodpowiedzialność zbiorowa, dlatego też byłem za karaniem zbrodniarzy hitlerowskich. Dlaczego ni stąd, ni zowąd jakaś taka dziwna i nielogiczna pobłażliwość dla byłych zbrodniarzy stalinowskich? Mówię całkiem wyraźnie o jednostkach, które można zidentyfikować, które brały bezpośredni udział w zbrodniach i w stosunku do nich sprawiedliwości powinno stać się zadość. Tu różnego rodzaju gimnastyka intelektualna do mnie nie przemawia. U większości społeczeństwa ta rzecz jest odczuwana bardzo wyraźnie.

– Mówi się też o problemie przedawnienia.

– To też jest lipa, mówiąc całkiem potocznie. Co znaczy przedawnienie zbrodni? To znaczy, że upłynął pewien okres, w którym można było wytoczyć postępowanie i nie zostało ono wytoczone. Czy Pan sądzi, że w roku np. 1954 można było wytoczyć postępowanie za zbrodnie stalinowskie? Okres, w którym można było to robić, zaczyna się dopiero od czasu postkomunistycznego. O jakim przedawnieniu mówimy? To jest taki absurd, że właściwie tracimy czas, mówiąc na ten temat.

– Mówił Pan o odpowiedzialności jednostek, które można zidentyfikować. Jednakże w procesie norymberskim całą organizację SS uznano za przestępczą.

– Bardzo byłbym skłonny uznać UB za coś podobnego.

W SPOŁECZEŃSTWIE DEMOKRATYCZNYM MUSI BYĆ ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA ZBRODNIE. TO JEST ABSOLUTNIE KONIECZNE I BEZ TEGO NIE MA PRAWORZĄDNOŚCI.

– A PZPR?

– Ja rozumiem, że 40 lat po przejęciu władzy przez komunistów istniał w Polsce pewien stan rzeczy, z którym wszyscy musieli się do pewnego stopnia pogodzić i w którym wiele osób uważało, że wejście do partii jest jedyną drogą do polepszenia sytuacji w Polsce. Dlatego nie proponowałem i nie proponuję karania ludzi za to, że należeli do partii, nawet jeżeli brali w niej jakiś czynny udział.

Prawo do stawiania warunków

– Wciągnęliśmy Pana Profesora w konferencję o dekomunizacji. Tymczasem, zanim Pan wyjedzie z Polski, z USA wróci minister finansów polskiego rządu. Niektórzy politycy w Polsce protestują przeciw rzekomemu dyktatowi światowych instytucji finansowych. Pański komentarz przyda jasności tej sprawie: jest dyktat czy nie ma?

– To jest kwestia terminologii. Również sposobu rozumowania. Nikt nikogo nie zmusi do przyjęcia kredytu czy pożyczki i jeżeli ktoś w Polsce wychodzi z założenia, że nie powinno się tych kredytów przyjmować, to oczywiście może to wprowadzić w życie – jeśli uzyska poparcie społeczeństwa i stanie się rządem. Pociągnie to za sobą obiektywne konsekwencje. Jeżeli natomiast ktoś jest gotów udzielić kredytów, to – tak jest na całym świecie – ma on prawo postawić warunki co do spłat i co do wykorzystania pożyczki. MFW i BŚ działają na podstawie pewnych doświadczeń w dziedzinie rozwoju gospodarki, opanowania hiperinflacji i wnioski praktyczne stosują przy udzielaniu kredytów.

– Czy jednak są to doświadczenia w pełni uniwersalne, czy instytucje te mogły wcześniej wyciągnąć praktyczne wnioski z transformacji gospodarki socjalistycznej do wolnorynkowej?

– Nie są one nieomylne, z tym każdy się zgadza, ale są pewne zasady, na których postępowanie tych instytucji się opiera. Bo właściwie jakie powinny być powody tych pożyczek – filantropia? Sympatia? Czy może przekonanie, że każdy odbiorca ma świętą rację? W okresie Gierka uwierzono w założenia, które okazały się całkowicie nieudowodnione; Polska zaciągnęła długi na skalę kilkudziesięciu miliardów dolarów i Polacy do dziś nie mogą tego spłacić.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

TRZECIA DROGA 2.0,

czyli jak tonące PSL Hołowni się trzyma



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

PSL i Polska 2050 wracają do formuły „Trzeciej Drogi". Choć na razie tylko nieoficjalnie, to ma być to najlepszy spośród najgorszych scenariuszy, aby zapobiec twardemu lądowaniu obu formacji poza Sejmem w kolejnej kadencji. A to dziś jest wielce prawdopodobne czy wręcz prawie pewne. **Ceną za nowe porozumienie** Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni ma być jednak wypchnięcie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, której nie chcą na wyborczych listach zarówno prezes ludowców, jak i... sam Hołownia.

Andrzej Gajcy

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Niespełna półtora roku przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi nastroje w koalicji rządzącej uległy wyraźnemu pogorszeniu. Powiedzieć, że jest źle, to jakby nic nie powiedzieć. Słabe wyniki w sondażach i ryzyko nieprzekroczenia progu wyborczego zmuszają koalicjantów Donalda Tuska do ostrych rewizji wyborczych planów. Dawny optymizm ustąpił miejsca pragmatycznej kalkulacji i niepokojowi o przyszłość, a strach przed wyborczą porażką i oddaniem władzy zajrzał wielu po raz pierwszy tak głęboko w oczy.

Sygnał ostrzegawczy

Kluczowym momentem tego przesilenia stały się nieprawidłowości ujawnione przez media w Warszawskim Szpitalu Południowym. Porażająca skala patologii, informacje o handlu zwłokami w publicznym szpitalu czy nepotyzmie, który oplótł publiczne instytucje jak sycylijska ośmiornica, uderzyły przede wszystkim w wizerunek formacji Donalda Tuska. Jednak konsekwencje tej afery ponoszą również mniejsi koalicjanci. Choć nie są oni bezpośrednio powiązani z tą sprawą, to w oczach wyborców i opinii publicznej ponoszą współodpowiedzialność jako część obozu władzy. Dla wszystkich koalicjantów stało się jasne jedno: to poważny sygnał ostrzegawczy, który zlekceważony będzie ich bardzo dużo kosztował, a samego Tuska najwięcej, czyli oddanie władzy.

Narracyjny komfort, w którym dotychczas funkcjonował obóz rządzący, wspierany przez usłużne prorządowe media, bezpowrotnie minął. Nikt nie ma tu wątpliwości. Dzisiejsza rzeczywistość to codzienny, bezwzględny obstrzał medialny, obnażający patologie, których nie sposób już zrzucić na karb dziedzictwa poprzedników. Formuła „wina PiS-u” bezpowrotnie się zużyła, ustępując miejsca pytaniom o odpowiedzialność ekipy Donalda Tuska. Rządzenie krajem zaczęło przypominać zarządzanie spółką z ograniczoną odpowiedzialnością, w której zyski płyną do nielicznych, a ryzyko i koszty ponoszą obywatele, co doskonale obrazuje katastrofalna sytuacja w służbie zdrowia. Dla mniejszych partii koalicyjnych stało się jasne, że jeśli natychmiast nie odetną się od toksycznych afer i nie narzucą tematu pilnych reform, to lider Koalicji Obywatelskiej pociągnie ich za sobą na dno. Strach ma wielkie oczy, zwłaszcza gdy poprze się go twardymi danymi sondażowymi.

> NARRACYJNY KOMFORT, W KTÓRYM DOTYCHCZAS FUNKCJONOWAŁ OBÓZ RZĄDZĄCY, WSPIERANY PRZEZ USŁUŻNE PRORZĄDOWE MEDIA, BEZPOWROTNIE MINĄŁ.

A te są dla koalicjantów bezlitosne. Analizy trendów wyborczych z ostatnich tygodni rysują jasny, a zarazem ponury scenariusz. Nawet jeśli Koalicja Obywatelska wygra nadchodzące wybory, nie będzie w stanie samodzielnie ani nawet w obecnym układzie sformować większości rządowej. Powód? Katastrofalna polaryzacja i kanibalizm na własnym podwórku. Jedyną formacją po stronie dzisiejszej władzy, która stabilnie przekracza pięcioprocentowy próg wyborczy i melduje się w przyszłym Sejmie, jest Nowa Lewica pod wodzą Włodzimierza Czarzastego. Dla kontrastu – ludowcy i Polska 2050 dryfują na granicy błędu statystycznego. Ostatnie badania opinii publicznej nie pozostawiają złudzeń: PSL może liczyć na skromne 3 do 4 procent poparcia, podczas gdy Polska 2050 szoruje po dnie z wynikiem rzędu 1–2 procent.

> RZĄDZENIE KRAJEM ZACZĘŁO PRZYPOMINAĆ ZARZĄDZANIE SPÓŁKĄ Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ, W KTÓREJ ZYSKI PŁYNĄ DO NIELICZNYCH, A RYZYKO I KOSZTY PONOSZĄ OBYWATELE, CO DOSKONALE OBRAZUJE KATASTROFALNA SYTUACJA W SŁUŻBIE ZDROWIA.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Bez radykalnego zwrotu akcji ławy poselskie przy Wiejskiej bezpowrotnie zamkną się przed dotychczasowymi ministrami i liderami tych ugrupowań.

Śmiertelny uścisk Tuska

Taki obrót spraw – wbrew oficjalnym deklaracjom – wywołuje dyskretny uśmiech zadowolenia w gabinecie premiera. Donald Tusk od lat uchodzi za politycznego drapieżnika, który nie toleruje konkurencji po stronie umiarkowanego centrum. Eliminacja Polski 2050 z politycznej planszy, a w szczególności odsunięcie na boczny tor jej szefowej minister Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, pozwoliłoby Koalicji Obywatelskiej na bezkrwawe przejęcie osieroconego, wielkomiejskiego elektoratu po Polsce 2050. Z kolei wobec Polskiego Stronnictwa Ludowego premier ma gotowy, sprawdzony w przeszłości plan: łaskawa propozycja wpuszczenia prominentnych działaczy na listy wyborcze KO. Cena za to koło ratunkowe byłaby jednak ogromna. Oznaczałaby ona ostateczną utratę podmiotowości przez najstarszą polską partię polityczną. Byłby to powolny, brutalny i zarazem nieuchronny koniec PSL, na co ludowcy pójść nie chcą i zwyczajnie nie mogą.

Plan awaryjny PSL

W tej przedwyborczej scenerii narodziła się oficjalna strategia obronna PSL. Dotychczas pytani o plany politycy z koniczynką w klapie solennie zapewniali, że do wyborów idą pod własnym szyldem. Doskonale rozumieją, że wspólna lista z KO czy Nową Lewicą w otwartej formule to polityczne samobójstwo. Postanowili więc postawić na budowę silnych, wyrazistych marek osobistych swoich liderów, którzy mają stać się lokomotywami nadchodzącej kampanii. Miłosz Motyka odpowiadający za energię, Stefan Krajewski w resorcie rolnictwa oraz Dariusz Klimczak sterujący infrastrukturą – to oni, ramię w ramię z szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, mają udowodnić wyborcom, że PSL posiada merytoryczne zaplecze do współrządzenia państwem. Do tego grona dołączyła Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, nowa wiceminister obrony, która dzięki programowi SAFE wyrosła na jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy tej formacji, przymierzanych przez niektórych nawet do fotelu premiera. Ta ofensywa wizerunkowa, choć zauważalna, zaczyna jednak budzić coraz większą irytację i niepokój w szeregach Koalicji Obywatelskiej, w której interesie nie jest wzmacnianie się PSL-u.

> HOŁOWNIA, ODSUWAJĄC WSZELKIE EMOCJE NA BOK, MIAŁ DOJŚĆ DO WNIOSKU, ŻE POD OBECNYM PRZYWÓDZTWEM PROJEKT POLSKI 2050 CZEKA NIEUCHRONNA KATASTROFA.

Powrót do „Trzeciej Drogi” bez „szkodników”

Na tym jednak PSL nie poprzestaje. Od dawna partia ta rozgląda się za wyborczym sojusznikiem, którego można by się chwycić przed politycznym zatonięciem. Dla ludowców zresztą to nic nowego, robili tak już kilkukrotnie, startując czy to z Pawłem Kukizem, czy Szymonem Hołownią. W obu tych przypadkach chodziło o to samo: by na czyichś plecach wejść do kolejnego parlamentu, czyli o typowe wyborcze pasożytnictwo.

Teraz ma być nie inaczej. W ostatnich tygodniach media coraz częściej informują o zakulisowych rozmowach Władysława Kosiniaka-Kamysza z Szymonem Hołownią. Obaj liderzy mieli dojść do pragmatycznego wniosku, że osobno utoną, ale połączeni wspólnym interesem mają szansę powtórzyć manewr z 2023 roku. Tak urodzić się miała koncepcja Trzeciej Drogi 2.0, jednak pod nowym szyldem, w innej

> FUNDAMENTEM WYBORCZEGO MAŁŻEŃSTWA HOŁOWNI Z KOSINIAKIEM-KAMYSZEM MA BYĆ UNIKALNA JAK NA ŚWIAT POLITYKI OSOBISTA PRZYJACIELSKA RELACJA MIĘDZY OBOMA POLITYKAMI.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

personalnej konfiguracji i z innymi pomysłami, uszytymi na miarę rozczarowanych obecną władzą wyborców. A tych nie brakuje i z każdym kolejnym tygodniem i z każdą kolejną aferą przybywa.

Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć: projekt ten nie ma i długo nie będzie miał oficjalnego charakteru. Co ważne, ten nowy-stary przedwyborczy mariaż nie bez powodu omija obecną liderkę Polski 2050 Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz. Wokół jej osoby urósł potężny mur niechęci. Władysław Kosiniak-Kamysz nie kryje, że uważa minister funduszy za największego szkodnika obecnego gabinetu, który systematycznie sypie piach w tryby rządowej machiny, destabilizując wspólne działania. Lider ludowców złośliwie rezerwuje dla niej miejsce bardziej na listach Partii Razem niż obok siebie. Co jednak najciekawsze, w tej opinii Kosiniak-Kamysz ma nie być odosobniony. Identycznie na temat swojej partyjnej koleżanki ma myśleć... sam Szymon Hołownia.

Come back Hołowni?

Hołownia, odsuwając wszelkie emocje na bok, miał bowiem dojść do wniosku, że pod obecnym przywództwem projekt Polski 2050 czeka nieuchronna katastrofa. Postanowił więc odzyskać to, co kiedyś należało do niego. Ten kurs miał zostać już podobno obrany. Nie bez powodu niedawno zrezygnował z formalnych funkcji w partii, tworząc wokół siebie nieformalną grupę lojalistów. To zalążek nowej rebelii, której pierwszym, strategicznym etapem ma być odbicie klubu parlamentarnego. Hołownia chciałby osobiście stanąć na jego czele, zastępując posła Pawła Śliza, który w Polsce 2050 uchodzi za jednego z jego największych sprzymierzeńców. I choć Śliz przegrał wybory na wiceprzewodniczącego OBWE, to niewykluczone, że znajdzie on sobie inny pretekst, by zrezygnować z kierowania klubem. Choćby start w wyborach na prezydenta Krakowa, przed którym dotychczas bronił się rękoma i nogami.

CZY WYBORCY PO RAZ KOLEJNY UWIERZĄ W TĘ SAMĄ OPOWIEŚĆ, TYLKO W NOWYM OPAKOWANIU? ODPOWIEDŹ BRZMI: TO MOŻE SIĘ UDAĆ.

Fundamentem tego przyszłego wyborczego małżeństwa Hołowni z Kosiniakiem-Kamyszem, które na dzisiaj wydawać się może wręcz więcej niż pewne, ma być unikalna jak na świat polityki osobista przyjacielska relacja między oboma politykami. W mediach ani jeden, ani drugi nie szczędzi sobie wzajemnych komplementów, a Hołownia bez oporów nazywa lidera ludowców swoim prawdziwym przyjacielem. Choć w świecie bezwzględnej walki o wpływy i władzę taka deklaracja brzmi egzotycznie, to właśnie ta relacja ma spajać nowy wyborczy projekt.

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ NIE KRYJE, ŻE UWAŻA MINISTER FUNDUSZY ZA NAJWIĘKSZEGO SZKODNIKA OBECNEGO GABINETU.

Pytanie brzmi: czy wyborcy po raz kolejny uwierzą w tę samą opowieść, tylko w nowym opakowaniu? Odpowiedź brzmi: to może się udać. Hołownia i Kosiniak-Kamysz chcą bowiem pozycjonować się jako racjonalna alternatywa dla tych, którzy głęboko zawiedli się na niespełnionych obietnicach Donalda Tuska i jego gabinetu, ale jednocześnie odczuwają paniczny strach przed powrotem do władzy Prawa i Sprawiedliwości bądź radykalnym zwrotem w prawo pod znakiem Konfederacji Krzysztofa Bosaka, Sławomira Mentzena czy ugrupowania Grzegorza Brauna. To polityczne małżeństwo z rozsądku – choć obaj liderzy samodzielnie utracili magnetyzm przyciągania mas – w duecie może wygenerować synergię niezbędną do przeskoczenia pięcioprocentowego progu. Dla nich to stawka o wszystko. Jeśli plan się powiedzie, ponownie staną się języczkiem u wagi w powyborczej układance, bez którego nikt nie będzie w stanie stworzyć rządowej większości. A to oznacza przy poparciu zaledwie 5-procentowym powrót do gry o najwyższe stanowiska, wpływy i intratne posady dla swoich ludzi. Mechanizm jest prosty, wręcz cyniczny. Czas pokaże, czy okaże się znowu skuteczny.

eprasa.pl 2dc4a65eb2



Fot. M. Żegliński

Śladami wolności i stoczniowego trudu.

Dlaczego historia Sali BHP tak przyciąga?

W dobie cyfrowej rzeczywistości i historii opowiadanej coraz częściej za pomocą ekranów dotykowych Sala BHP Stoczni Gdańskiej stawia na dotknięcie żywej, namacalnej przeszłości. Ten wyjątkowy pomnik historii, będący pod stałą opieką Fundacji Promocji Solidarności, codziennie udowadnia, jak wielką siłę ma prawda ukryta w zabytkowych murach.

Konrad Wernicki

To właśnie tu, w miejscu, gdzie rodził się wielomilionowy ruch NSZZ „Solidarność” i gdzie podpisywano historyczne Porozumienia Sierpniowe, przeszłość nie jest zakurzoną kartą z podręcznika – ona wciąż pulsuje życiem.

Trzy wycieczki do wyboru

Z myślą o osobach pragnących poczuć ducha wolności i postindustrialne klimaty gdańskiego Młodego Miasta w tym historycznym obiekcie uruchomiony został oficjalny program wycieczek z przewodnikiem. Oferta ta wykracza daleko poza ramy zwykłych spacerów turystycznych. To przemyślane, zróżnicowane ścieżki edukacyjne zaprojektowane tak, by trafiać do serc i umysłów każdego pokolenia – od pasjonatów historii, przez miłośników techniki, aż po rodziny z dziećmi.

Odwiedzający mają do wyboru trzy unikalne trasy:

1. „Kolebka Solidarności” – to spotkanie z wnętrzami Muzeum Sali BHP. Pod okiem przewodnika goście wkraczają do legendarnej Dużej Sali BHP, gdzie zapadały decyzje zmieniające bieg dziejów Polski. Oglądają ożywione efektami świetlnymi dioramy stoczniowe, rekonstrukcję tajnej podziemnej drukarni oraz bezcenne artefakty z czasów Sierpnia ’80.
2. „Jak działała stocznia?” – propozycja łącząca muzeum z plenerowym spacerem, przeznaczona dla

eprasa.pl 2dc4a65eb2



tych, którzy chcą zrozumieć potęgę przemysłu okrętowego. Trasa wiedzie m.in. przez Plac Solidarności, Pomnik Poległych Stoczniowców, historyczną Bramę nr 2 i Szlak Stoczni Cesarskiej aż po most pontonowy, z którego roztacza się widok na współczesne działające zakłady produkcyjne.

3. „Od Jung Stadt do Młodego Miasta" – fascynujący spacer urbanistyczny ukazujący, jak na przestrzeni wieków – od średniowiecza po nowoczesną rewitalizację – zmieniało się i rozwijało tożsamościowe serce Gdańska.

Strażnik pamięci

To, co jednak najgłębiej zapada w pamięć odwiedzających, to ludzie. Przewodnikiem na szlaku jest były stoczniowiec. Jako naoczny świadek historii nie recytuje wyuczonych formułek. Opowiada o realiach stoczniowego trudu, o zapachu spawanego metalu, o strachu i niezłomnej nadziei, która towarzyszyła robotnikom w sierpniu 1980 roku. Dzięki jego osobistej perspektywie każda minuta wycieczki staje się poruszającym doświadczeniem.

Warto podkreślić, że ochrona tego dziedzictwa wykracza daleko poza ramy tradycyjnego muzealnictwa. Za całym przedsięwzięciem stoi bowiem Fundacja Promocji Solidarności – nowoczesny think tank NSZZ „Solidarność" oraz wydawca „Tygodnika Solidarność" i portalu Tysol.pl, który na co dzień realizuje kluczowe projekty społeczne, edukacyjne oraz debaty eksperckie. Dla instytucji tej opieka nad Salą BHP i organizacja unikalnych ścieżek zwiedzania to fundament misji publicznej: budowanie żywej pamięci narodowej i tożsamości Solidarności. Dzięki temu turyści i mieszkańcy Trójmiasta otrzymują nie tylko profesjonalną usługę kulturową, ale stają się częścią szerokiego, wciąż rozwijanego projektu edukacyjnego, który spaja historyczną walkę o prawa pracownicze ze współczesną dyskusją o wolności.

Organizatorzy dbają o to, by to narodowe dziedzictwo było w pełni dostępne. Ceny biletów skalkulowano tak, by promować rodzinną edukację (bilet normalny kosztuje 30 zł, a ulgowy dla dzieci i młodzieży do lat 15 – zaledwie 20 zł).

Historyczna Sala BHP czeka na gości przez cały tydzień. Niezależnie od tego, czy szuka się pomysłu na wartościowy weekend z rodziną, czy chce się na własne oczy zobaczyć stoczniowe makiety i historyczny stół prezydialny – warto zarezerwować miejsca. Oficjalny harmonogram wycieczek oraz system bezpiecznego zakupu biletów online dostępne są na stronie: www.salabhp.pl/rezerwacje.

Zeskanuj kod QR, by sprawdzić dostępne terminy wycieczek:

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Na konflikcie polsko-ukraińskim stracą oba narody

Realia polityczne bywają twarde i nieubłagane. Bez wątpienia skazują nas one dzisiaj na twardszy kurs względem Ukrainy. Ważne jest jednak, by **nie ulegać złym emocjom**, gdyż są one w tym wypadku najgorszym doradcą.

Marek Nowak

Choć na pełną ocenę znaczenia Konferencji na Rzecz Odbudowy Ukrainy (URC 2026), która odbyła się 25–26 czerwca w Gdańsku, trzeba będzie jeszcze poczekać, już dziś wyraźnie widać, że wszystkie plany uczynienia z niej na poziomie polityczno-symbolicznym ważnego, wręcz przełomowego wydarzenia, musiały ulec weryfikacji. Nieobecność prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, którego zastąpiła premier Julia Swyrydenko, rzuciła cień na całe wydarzenie. Po tym, gdy prezydent Karol Nawrocki pozbawił ukraińskiego przywódcę Orderu Orła Białego – ponieważ ten nadał wojskowej jednostce patronat „Bohaterów UPA" – strona ukraińska odpowiedziała kilkoma nieprzyjaznymi gestami. Nieprzybycie Zełenskiego do Gdańska jest na razie najbardziej znaczącym z nich. Istniejący w polityce jedynie jako antyteza prawicy marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty szybko znalazł winnego. – Uważam, że można było tę sprawę z Ukrainą inaczej rozgrywać. Nie udało mu się zablokowanie SAFE, to chciał doprowadzić



Konferencja na rzecz Odbudowy Ukrainy; Gdańsk, 25 czerwca br.

Fot. Łukasz Dejnarowicz / Forum

eprasa.pl 2dc4a65eb2

do tego, żeby ta konferencja nie była tak reprezentatywna, jak była i jak jest, i uważam, że to jest działanie nierozsądne i niemądre – mówił lider Nowej Lewicy 26 czerwca na antenie TVN24. Nie dowiedzieliśmy się jednak, w jaki sposób marszałek chciałby „rozegrać sprawę z Ukrainą". Milczał, gdy decyzja ukraińskiego prezydenta wywołała kryzys. Podobną postawę prezentuje dziś wielu ostrych krytyków postępowania prezydenta Nawrockiego. Zarzucają mu, że „psuje relacje z Ukrainą" i „działa na rzecz Rosji". W tej krytyce próżno jednak szukać jakiejkolwiek pozytywnej agendy. Co w zasadzie prezydent – lub szerzej, polskie władze, zdaniem autorów tej krytyki, powinny robić? Ignorować działania uderzające wprost w polską pamięć i wrażliwość historyczną? Tylko dokąd zaprowadziłaby nas ta droga? A może zareagować inaczej? Jak? Tego się, niestety, nie dowiemy. Osobiście odbieram z ogromnym smutkiem to, co dzieje się w relacjach polsko-ukraińskich. Bardzo ubolewam, że Zełenski stracił order nadany mu, by uczcić odwagę i heroizm ukraińskiego narodu walczącego z rosyjską agresją. Niemniej uważam, że decyzja polskiego prezydenta była właściwa. To gest symboliczny, wyraźny i bardzo znaczący, lecz bez odcinania wsparcia wojskowego. Pokazujący tej części ukraińskich elit politycznych, którą stanowią ludzie o na wpół sowieckiej mentalności, że traktujemy naszą pamięć historyczną poważnie – jako państwo. Był to, w mojej ocenie, ostatni moment na taki gest z naszej strony. Mimo emocji, które musiał wywołać, jego wykonanie daje szansę na bardzo potrzebne w relacjach polsko-ukraińskich nowe otwarcie. Dalszy brak gestu z naszej strony byłby – poprzez moc polityczno-społecznego dryfu – gwarancją jedynie złych scenariuszy. Co zatem zrobić, by pójść w kierunku dobrych scenariuszy? W życiu często bywa tak, że złe rozwiązania są łatwe w realizacji, dobre zaś wymagają dużo pracy. Nie inaczej jest w tym wypadku.

Powrót do uczciwej polityki historycznej

Polityka historyczna i polityka pamięci to nie są, jak nas próbowano przekonywać, kwestie nieważne – jedynie pozy używane do realizacji bieżących interesów. To coś głębokiego, zakorzenionego w elementarnych składnikach narodowej tożsamości. Czegoś, czego nie wolno zaniedbywać. To, że prawdopodobnie z powodów szlachetnych temat Wołynia przez dekady omijany był przez ludzi dobrej woli po obu stronach, pozostawił go w rękach ludzi złej woli. To, że twarzami sporu o pamięć po Wołyniu są po stronie ukraińskiej takie postacie jak mer Lwowa Andrij Sadowy, a po polskiej – były premier Leszek Miller, nie daje żadnych nadziei na cokolwiek innego poza dalszym zaognianiem emocji. Zbyt długie milczenie w kwestiach ciągle niezabliźnionych jeszcze ran zawsze wywołuje cień – a cień to dobra przestrzeń, w której mogą się schować ludzie o nieczystych intencjach. Myślę, że ciągle jest możliwe, by to ludzie dobrej woli tym się zajęli. Warto iść w tym kierunku. Uporanie się z historycznymi winami pomogłoby z pewnością samej Ukrainie. Nawet jeśli dzisiejsze elity władzy naszego sąsiada wypierają ten fakt, prędzej czy później przyjdzie czas, że będą musiały się z nim zmierzyć. Warto, by Polska nieustannie wysyłała sygnały, że jest gotowa być partnerem w tej dyskusji – ale partnerem uczciwym, a nie biernym akceptantem narracji, która naszą krzywdę czyni niewidzialną. Gest prezydenta Nawrockiego był właśnie takim sygnałem. Nie był aktem wrogości wobec Ukrainy walczącej z Rosją. Był obroną godności i prawdy jako warunku sine qua non przyszłego, trwałego partnerstwa. Bez tego partnerstwo pozostanie kruche, oparte na doraźnych interesach i emocjach, a nie na wzajemnym szacunku.

> ODEBRANIE ORDERU ORŁA BIAŁEGO PREZYDENTOWI ZEŁENSKIEMU TO GEST POKAZUJĄCY UKRAIŃSKIM ELITOM POLITYCZNYM, ŻE TRAKTUJEMY NASZĄ PAMIĘĆ HISTORYCZNĄ POWAŻNIE – JAKO PAŃSTWO.

Z utopii w kierunku darwinizmu

Kolejną ważną kwestią są relacje społeczne. Warto spojrzeć na nie z pewnego dystansu. Pierwsze dwa lata po rosyjskiej inwazji na Ukrainę to był czas utopijny – nie tylko dlatego, że społeczeństwo polskie pokazało niezwykłą solidarność, lecz także dlatego, że przez krótki okres mieliśmy zalążek prawdziwie solidarystycznego państwa. Wbrew budowanej po 1989 roku przez elity III RP i wtłaczanej społeczeństwu tożsamości opartej na hiperindywidualizmie,

eprasa.pl 2dc4a65eb2

niechęci do wszelkich modeli wspólnoty i apoteozie rywalizacji, w obliczu fali uchodźczej z Ukrainy Rzeczpospolita zachowała się jak państwo o prospołecznej tożsamości. Setki tysięcy Polaków otworzyły domy, organizowały zbiórki, pomagały w urzędach i szkołach. Rządy PiS-u po 2015 roku nieco ten neoliberalny kontekst zanegowały, lecz nie oszukujmy się – kontekst ten ciągle istniał i trzymał się mocno. Społeczeństwo w stanie utopijnym posiada tę właściwość, iż znajduje się jednak w miejscu możliwej zmiany. Albo zewnętrzny neoliberalny kontekst mógł się zmienić – przestawiając cały system na bardziej solidarystyczne tory – albo konieczne było usunięcie, prędzej czy później, solidarystycznej anomalii. Przyzwolenie na solidarność wobec Ukraińców oznaczałoby kierunek na solidaryzm wobec Polaków i odwrotnie – zgoda na „gnojenie" Ukraińców oznacza brak solidaryzmu wewnątrz systemu. Wybrano tę drugą drogę. Jej rezultatem będzie dalsza atomizacja społeczna, rozpad więzi międzyludzkich i społeczny darwinizm dla wszystkich. Pozostaje pytanie, dlaczego tak się stało?

Nie ma powodów do radości

Opisując dynamikę polsko-ukraińskich relacji na poziomie społecznym, nie sposób nie odnieść wrażenia, że mamy do czynienia z mechanizmem samopotwierdzającej się diagnozy, zwanej też samosprawdzającą się przepowiednią. Niektórzy intelektualiści z prawej i z lewej strony spektrum politycznego z różnych powodów nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia, że Polacy są tacy życzliwi wobec „obcych". Dla części liberalnego mainstreamu i lewicy obraz Polaka-ksenofoba lub „ciemnego faszyzującego tłumu" był tak silnie wdrukowany w świadomość, że dysonans poznawczy musiał być trudny do zniesienia. Dla części prawicy – zwłaszcza tej o prorynkowej, indywidualistycznej tożsamości – widok ten był jeszcze trudniejszy do strawienia. Nie dość, że gesty społecznego solidaryzmu same w sobie są czymś podejrzanym, to jeszcze skierowane w stronę „obcych". To z pewnością było podwójnie trudne do zniesienia. „Nie może tak przecież być!" – musieli pomyśleć jedni i drudzy. Szybko zaczęli uprawiać hermeneutykę podejrzeń i produkować diagnozy mające obalić ten optymistyczny obraz. Te narracje weszły do debaty publicznej i samoświadomości społecznej. Nie wykreowały nowej rzeczywistości od zera, ale znacznie przyspieszyły procesy, które intelektualiści obdarzeni choćby minimalną odpowiedzialnością społeczną powinni raczej hamować. Z czasem przyszło zmęczenie wojną, naturalne konflikty interesów i polityka samej Ukrainy. To, jak krótkowzroczna i nieodpowiedzialna bywa polityka Zełenskiego względem Polski – to temat na osobny tekst. Tu – wystarczy powiedzieć, że pełni ona rolę jednego z ważniejszych czynników pogarszających wzajemne relacje. Czy oznacza to, że ci, którzy po polskiej stronie od początku wieszczyli załamanie wzajemnych relacji i się o to modlili, mogą teraz tryumfować? Nawet jeśli tak, jest to zwycięstwo pyrrusowe. Na poziomie geopolitycznym osłabia ono zarówno Polskę, jak i Ukrainę – a to, co może brzmieć już jak nieznośny truizm, lecz należy to powtarzać, służy Rosji, która z każdej takiej rysy ma szansę wyciągnąć korzyści strategiczne. Co także istotne, wszelki triumfalizm jest również radością z gorszej jakości państwa, zaniku solidaryzmu jako ważnego czynnika w relacjach społecznych i powrotu do darwinistycznych, indywidualistycznych relacji społecznych. Drogie Panie i Panowie z prawicowych i liberalnych obozów politycznych... naprawdę jest się z czego cieszyć?

> GEST PREZYDENTA NAWROCKIEGO NIE BYŁ AKTEM WROGOŚCI WOBEC UKRAINY WALCZĄCEJ Z ROSJĄ. BYŁ OBRONĄ GODNOŚCI I PRAWDY JAKO WARUNKU SINE QUA NON PRZYSZŁEGO, TRWAŁEGO PARTNERSTWA.

Ku dobrym scenariuszom

Obecny kryzys w relacjach polsko-ukraińskich jest w pewnym stopniu zjawiskiem naturalnym, a nawet – paradoksalnie – potrzebnym. Przede wszystkim dlatego, że obnaża iluzje i otwiera realne rozdroża: zarówno w kierunku scenariuszy dobrych, jak i złych. Na dziś te drugie wydają się opcją domyślną i bardziej prawdopodobną. Jednak wcale nie musi tak być. Wszystko wciąż pozostaje w naszych rękach. Wszelkie dobre scenariusze wymagają jednak ciężkiej, konsekwentnej pracy i politycznej odwagi po obu stronach. Polska powinna kontynuować – a w razie potrzeby nawet wzmacniać – wsparcie wojskowe i logistycz-

eprasa.pl 2dc4a65eb2

ne dla walczącej Ukrainy. Istnienie silnej, niepodległej i potrafiącej bronić swojego terytorium Ukrainy, funkcjonującej jako bufor chroniący nas przed agresywnym rosyjskim imperializmem, leży bowiem w żywotnym i strategicznym interesie Rzeczypospolitej. Jednocześnie Warszawa musi jasno i konsekwentnie stawiać sprawę pamięci historycznej jako fundamentalnego warunku prawdziwego partnerstwa – a nie jedynie transakcyjnego sojuszu doraźnych interesów. Nie chodzi tu o negowanie ukraińskiego prawa do niepodległości i samostanowienia. Chodzi o odmowę relatywizowania okrutnej zbrodni dokonanej na polskich cywilach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. W tej i w wielu innych kwestiach będziemy zapewne skazani na twardszy kurs. Kluczowe jest jednak, by prowadzić politykę rozsądną: nie odpuszczać tam, gdzie żadne szanujące się państwo odpuścić nie może, ale jednocześnie unikać niepotrzebnych, eskalujących konfliktów tam, gdzie jest to możliwe i racjonalne. Myślę, że warto postawić na politykę wielowektorową – twardą w zasadach, ale wielowymiarową w realizacji. Przykładem może być ustawa, która z dniem wejścia w życie blokowałaby wjazd na terytorium Polski każdemu ukraińskiemu samorządowcowi lub urzędnikowi, który po tej dacie zagłosuje za upamiętnianiem zbrodniarzy wojennych (w tym członków UPA odpowiedzialnych za masowe mordy na Polakach). Taka regulacja byłaby w pełni uzasadniona. Jednak gdyby towarzyszyło jej powołanie instytucji (na przykład instytutu lub funduszu) upamiętniającej i honorującej tych ukraińskich bohaterów, którzy podczas rzezi wołyńskiej, czy we Wschodniej Galicji, z narażeniem życia ratowali polskich sąsiadów – cała polityka nabrałaby głębszego, bardziej sprawiedliwego wymiaru. Znacznie trudniej byłoby wtedy wpisać ją w ramy rzekomej „polityki antyukraińskiej". Co warto podkreślić, żadnej realnej polityki antyukraińskiej Polska nie powinna prowadzić.

WSZELKIE DOBRE SCENARIUSZE WYMAGAJĄ CIĘŻKIEJ, KONSEKWENTNEJ PRACY I POLITYCZNEJ ODWAGI PO OBU STRONACH.

Polityka i kontekst

Jednocześnie warto pamiętać, że politykę tworzą nie tylko konkretne decyzje, lecz także ich szerszy kontekst i narracja, w jakiej są osadzone. Przejawiałbym zdecydowanie więcej optymizmu co do przyszłości, gdyby sprawa odebrania ukraińskiemu prezydentowi Orderu Orła Białego wydarzyła się w kontekście poszerzania, a nie zawężania udziału Ukraińców w polskim systemie społecznym i solidarystycznych funkcjach państwa. Pójście w kierunku dalszego, mechanicznego ograniczania praw socjalnych dla Ukraińców, jak to ostatnio można zauważyć, z pewnością nakarmi odradzający się w przestrzeni publicznej społeczny darwinizm. Może nawet przynieść doraźne korzyści sondażowe realizatorom takiej polityki. Jednak w dłuższej perspektywie będzie to droga w stronę najgorszych scenariuszy – atomizacji społeczeństwa, wzrostu wzajemnej nieufności i osłabienia spójności wewnętrznej Polski. Dziś wiele osób nie widzi tego zagrożenia. Silne emocje potrafią przysłonić jasność, rozsądek i racjonalny osąd sytuacji. Dlatego bez wątpienia wszyscy zewnętrzni nieprzyjaciele Polski będą te emocje podgrzewać. Jednak to ostatecznie od nas zależy, czy im ulegniemy.

RYSUJĘ CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ



eprasa.pl 2dc4a65eb2

Kto ma większy interes

Zacznijmy od konkretów. Ilu Ukraińców przebywa obecnie w Polsce? AI „rozkłada ręce” – no, około 1,5 mln do 2,5 mln. W tej liczbie blisko 1 mln z nich otrzymało PESEL UKR jako uchodźcy ze statusem ochrony czasowej; mniej więcej 800 tys. osób wcześniej legalnie zarejestrowano jako pracowników. Zastanawiająco **mało precyzyjna statystyka**...

Monika Małkowska



Fot. Adobe Stock

W czerwcu br. „Rzeczpospolita”, opierając się na wyliczeniach Eurostatu, podała dokładniejszą informację: status ochrony czasowej posiada już 971 255 obywateli Ukrainy, co oznacza, że w ciągu miesiąca (między kwietniem a majem) przybyło ich 10 tys. Zdecydowana większość traktuje RP jako kraj docelowy i zakorzenia się tu na stałe. Za to Natalija Panczenko, liderka ukraińskiej diaspory w Polsce, aktywistka społeczna (w 2024 r. odznaczona Orderem „Za zasługi” III klasy), oblicza polską obecność rodaków na... ok. 4 mln. Niejako potwierdzeniem tego szacunku są obserwacje Serhija Nagorniaka, ukraińskiego deputowanego (z partii Sługa Ludu), który po licznych pobytach w Polsce stwierdził, że Warszawa i Kijów różnią się jedynie... brakiem światła i ciepła. Zauważył, że w taksówkach, restauracjach, barach, sklepach – wszędzie pracują młodzi Ukraińcy. Najbardziej martwi go to, że w ten sposób jego kraj pozbył się młodych sił, a po wojnie ojczyzna będzie ich potrzebować. Zresztą, teraz też są potrzebne, zwłaszcza młodzi mężczyźni w wieku 18–22 lat. Te pięć roczników najmłodszych pełnoletnich Ukraińców wyraźnie widać i słychać na polskich ulicach. Tylko od sierpnia do listopada 2025 r. wjechało do Polski ponad 121 tys. ukraińskich młodych ludzi we wskazanym wieku. Podobno blisko 59 tys. wróciło, ale ok. 62 tys. pozostało tu bądź przeniosło się do innych krajów UE. Jednak dane te dotyczą jedynie ruchu granicznego i nie pozwalają jednoznacznie określić sytuacji. Mam wrażenie, że nasze państwo odpuściło sobie kontrolę nad ukraińską migracją.

Anioł na służbie

Ukraina przez 69 lat była spacyfikowana przez ZSRR. W sierpniu 1991 r. stała się niepodległym państwem, a dwa kraje, które jako pierwsze

eprasa.pl 2dc4a65eb2

uznały tę niezawisłość, to Polska i Kanada. Jednak dopiero w 2022 r., przyjmując do Polski „masyw emigrancki" z Ukrainy, zderzyliśmy się z mentalnością homo sovieticusa. Jak pisał Leszek Kołakowski (a wtórowali mu ks. Józef Tischner i publicysta Jerzy Turowicz), człowieka sowieckiego cechują oportunizm i koniunkturalizm oraz podatność na korupcję; oczekiwanie, że „ktoś coś załatwi"; brak samodzielnego myślenia; agresja wobec słabych, uniżoność wobec silnych. Z innej beczki – wieloletnia izolacja od światowej kultury nie dawała się „nadrobić" w kilka lat. Miałam okazję obserwować to na poletku sztuki wizualnej. Otóż w 2001 r. Ukraina zadebiutowała na weneckim Biennale Sztuki, w 2007 r. dorobiła się tamże zaś własnego Pawilonu Narodowego. Rok wcześniej dane mi było odwiedzić po raz pierwszy (i jak do tej pory ostatni) Kijów. Powodem była wystawa „Terytoria" złożona z prac artystów polskich, białoruskich i ukraińskich, na różne sposoby interpretujących prawosławie. Zaproszona z tej okazji kilkuosobowa grupka składała się z twórców i krytyków. Zapewne nad wszystkimi roztoczono „opiekę", ale tylko mnie przyznano indywidualnego „anioła". Trudno go nawet nazwać tajniakiem, bo działał jawnie i nachalnie. Oleg, ubrany w sztywny błękitny garniak, przykleił się do mnie od momentu przylotu i nie odstępował mnie na krok. Jakież było moje zdumienie, kiedy w 2007 r. znów spotkałam Olega – na Biennale w Wenecji. Tym razem prezentował się luzacko – nosił czerwony podkoszulek bez rękawów plus jeansy – choć w mieście na lagunie przebywał służbowo jako współkurator czy opiekun ukraińskiego pawilonu. Sztuka wciąż była pod kuratelą dawnych służb.

Sztuka pomarańczowej rewolucji

W 2013 r. niektórym wydawało się, że nastąpiło mentalne odcięcie Ukrainy od sowieckich związków. Wydarzył się Majdan, czyli krwawe protesty niepodległościowe w Kijowie. Przyczyną tzw. pomarańczowej rewolucji miał być opór prezydenta Wiktora Janukowycza wobec podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE, jednak szybko doszło do radykalizacji postaw. Powodem dalszych protestów stał się sprzeciw wobec polityki wewnętrznej i korupcji, także skorumpowanego oligarchy i prezydenta Janukowycza. Tenże dał dyla z kraju 22 lutego 2014 r., co uznano za symboliczne zwycięstwo Rewolucji Godności. I już wtedy w Polsce zaczęto rozpowszechniać narrację, że łączy nas z Ukraińcami „braterstwo". To wówczas ruszyła fala kulturalnych eventów mających na celu wykreowanie korzystnego, „europejskiego" wizerunku naszych sąsiadów. Wspomniana powyżej Panczenko współorganizowała wtedy Euromajdan i protesty pokojowe pod Ambasadą Ukraińską w Warszawie. Niecałe pół roku po Majdanie krakowski MOCAK przedstawił wystawę twórców działających na Majdanie pt. „Jestem kroplą w morzu. Sztuka ukraińskiej rewolucji". Byłam w MOCAK-u, widziałam pokaz, relacjonowałam. Niektóre zdjęcia z rozruchów (tych było najwięcej) robiły wrażenie, podobnie jak łopatologicznie symboliczne rzeźby (baletnica z kałachem w dłoni). Przed Krakowem pokaz eksponowano w Wiedniu, następnie miał pojechać do Nowego Jorku. No, światowe tournée. Tylko że... to była ściema, zarówno wystawa, jak w ogóle „ważność" kultury i jej wpływ na ukraińską świadomość. Serhij Żadan, pisarz, eseista, dramaturg, skomentował to brutalnie: „Majdan pokazał bezbronność kultury jako takiej. Koncerty, spektakle, wystawy, poezja. [...] To było fiasko sztuki". Skądś to znamy – z naszego solidarnościowego buntu lat 80. i „pospolitego ruszenia" w kulturze, które szybko oklapło z rozlicznych powodów. Bo igrzyska wolności tak długo trwają, jak długo opłaca się to prowodyrom.

Oddanie pola

Po 2022 r. Polacy otworzyli przed Ukraińcami nie tylko serca, domy i inne dobra, lecz także przyjęli na uczelnie artystyczne wielu naszych sąsiadów chętnych studiować sztuki wizualne oraz udostępnili najważniejsze instytucje sztuki, by przybliżyć szerokiej publiczności

STATUS OCHRONY CZASOWEJ POSIADA JUŻ 971 255 OBYWATELI UKRAINY, CO OZNACZA, ŻE W CIĄGU MIESIĄCA (MIĘDZY KWIETNIEM A MAJEM) PRZYBYŁO ICH 10 TYS. ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ TRAKTUJE RP JAKO KRAJ DOCELOWY I ZAKORZENIA SIĘ TU NA STAŁE.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

plastyczne dokonania ukraińskich twórców. To był świadomy zabieg: siłowa nobilitacja kultury Ukrainy, włączenie jej w „krwiobieg" Europy. Przypomnę najważniejsze wydarzenia plastyczne w najbardziej prestiżowych miejscach. W CSW Zamek Ujazdowski – „Ukraina. Pod innym niebem" (2023); MSN – Maria Prymaczenko, najsłynniejsza ukraińska naiwistka (2024); Zamek Królewski w Warszawie – „Arcydzieła z Ukrainy" (2025); Muzeum Sztuki w Łodzi – „W oku cyklonu. Modernizm w Ukrainie" (2025). A najbardziej jaskrawy i kompromitujący Polskę przykład przymilania się Ukrainie to oddanie Polskiego Pawilonu w Wenecji w 2024 r. na audiowizualną instalację „Powtarzajcie za mną II" autorstwa ukraińskiego kolektywu Open Group. Tu ciekawostka: komisarzem był Bartłomiej Sienkiewicz, minister kultury, potem jego następczyni Hanna Wróblewska. Znaczy, błogosławieństwo od samej góry. Jakby tego było mało, instalację pokazano w galerii Zachęta (2024) oraz na Open'er Festival (2024) w ramach specjalnego programu Sztuka na Open'er. Intensywność lansu nie pomogła, „dzieło" nie zyskało uznania. Za to my wydaliśmy kupę kasy. Wykładamy ją też codziennie na radio i tv Ukraina, emitowane na naszych kanałach. Robimy dobrze „przyjaciołom", oni zaś biorą, w przekonaniu, że im się „należy". Ale nie dotyczy to tylko kultury czy mediów. Ukraina, przeszkolona przez sowiecką szkołę manipulowania, wie, jak wziąć nad nami przewagę. I pokazuje to na każdym kroku.

Szeptana prawda

Z pobytu w Kijowie pamiętam jednodniową wycieczkę po zabytkach miasta z polskojęzyczną przewodniczką. W pełni ruski człowiek, marszruta była opłacona przez nas od godziny do godziny, więc zero przerw na picie (było gorąco), zero przerw na sikanie. Ale my, niepokorne Polki, postawiłyśmy się i zażądałyśmy praw dla naszej fizjologii. Bunt okazał się skuteczny. Z ciekawostek – kobieta pokazała (z daleka) rezydencje oligarchów (w tym Juszczenki), ubolewając, że nie są tak okazałe jak ruskich. I uświadomiła nam zależność skali posiadanych dóbr od skali kraju. W nieporównywalnie mniejszej skali lokują się dochody przeciętnych obywateli Ukrainy Zachodniej, którzy urządzają się czy urządzili w Polsce, pobierając socjal oraz korzystając z wszelkich ułatwień. Jednocześnie, przyjeżdżając do nas, podnajmują swoje mieszkania lub dacze przybyszom ze wschodnich okręgów, chroniącym się przed wojenną zawieruchą. Jedni i drudzy zadowoleni, interes się kręci. O tym procederze dowiedziałam się od zadomowionej tu i uczciwie pracującej Ukrainki, oburzonej tymi szwindlami. Podobnie inna pani z okolic Lwowa narzekała na wszechobecną ukraińską korupcję, która zaczynała się od... przyjęcia syna do szkoły. Bo egzamin nie ma znaczenia, tylko łapówka.

Uważajmy na konia

Nie, to nie o Romanie Giertychu, tylko o tym trojańskim, symbolicznym. Bo coś mi się wydaje, że zafundowaliśmy sobie powtórkę z greckiej mitologii. Przenikanie ukraińskich „uchodźców" zamieniło się niemal w akcję przesiedleńczą. Jej skutki wkrótce będą bardziej widoczne, z chwilą, gdy dojdzie do zawieszenia broni na linii Kijów – Moskwa. Uświadomienie naszym sąsiadom, że nie ma u nas zgody na kult banderowców, doprowadziło do raptownego zaiskrzenia w relacjach polsko-ukraińskich. Ale ten orderowy ping-pong, wywołany aktem nadania ważnej jednostce wojskowej imienia „Bohaterów UPA", staje się groteskowy. Jednak dzięki temu dotarło do zbiorowej świadomości, komu rozdawaliśmy najważniejsze odznaczenia. W tym ekskluzywnym gronie znaleźli się m.in. ukraińscy prezydenci, obaj odznaczeni Orderem Orła Białego przez Aleksandra Kwaśniewskiego: Leonid Kuczma (w 1997 r. za zasługi na rzecz rozwoju współpracy i przyjaznych stosunków między naszymi nacjami) i w 2005 r. Wiktor Juszczenko (ten sam, który promował politykę „OUN-UPA – nasi bohaterowie", organizował akcje „Wołyń – ukraińska ziemia" i odcinał się od przepraszania Polaków za rzeź wołyńską, a w 2010 r. nadał Banderze tytuł Bohatera Ukrainy). Ostatni był Petro Poroszenko, który otrzymał Orła Białego z rąk Bronisława Komorowskiego w 2014 r. Lista podobnie uhonorowanych polityków ukraińskich jest dość długa, więc nie ma co ich wymieniać. Ale konsekwencje tej orderowej rozgrywki będziemy wkrótce obserwować.

W 2013 R. NIEKTÓRYM WYDAWAŁO SIĘ, ŻE NASTĄPIŁO MENTALNE ODCIĘCIE UKRAINY OD SOWIECKICH ZWIĄZKÓW. WYDARZYŁ SIĘ MAJDAN, CZYLI KRWAWE PROTESTY NIEPODLEGŁOŚCIOWE W KIJOWIE.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

KARUZELA BLOGERAMI

ROSEMANN

DWA PYTANIA O PATRIOTY

W sprawie przekazania na Ukrainę przez obecny rząd posiadanej przez Polskę amunicji do systemów obrony przeciwlotniczej Patriot jest tak dynamiczna, że większość komentarzy na ten temat dezaktualizuje się już w trakcie pisania. Zaczynając ten tekst, mam już inny wyrzucony do kosza i poważną obawę, że ten też będę musiał skasować. Nie chcę za bardzo wdawać się w dyskusję o tym, „jak oni mogli", bo to dyskusja jałowa. Oni, czyli ci, którzy nami rządzą, nieraz już pokazali, że – w ich ocenie – mogą znacznie więcej, niż sobie wyobrażamy. Chcę się ograniczyć do dwóch pytań w innych nieco kwestiach.

Przede wszystkim narzuca się pytanie, kto wymyślił obecnej władzy sposób na to, by niewygodną sprawę osłabienia naszej obronności w chwili, w której ma nam zagrażać rosyjski atak, rozegrać właśnie w sposób, w jaki jest to rozgrywane. Nie chcę być złośliwy, ale podejrzewam, że musiał to być ktoś mało zorientowany, niedoświadczony i najpewniej niepełnoletni. Narracja, w której w taki sposób próbuje się przekierować winę na polityczną konkurencję, jest bowiem absolutnie głupia. Oparcie obrony własnych działań na zestawieniu „oni 44, a my tylko 5" miałoby może jakiś sens, gdyby wcześniej miesiącami ci sami ludzie nie wmawiali społeczeństwu, że PiS „realizuje agendę Kremla" i w ogóle „PiS to Rosja". Przecież (poza „betonem" ze środowiska Silnych Razem, który kupi wszystko) nikt nie kupi logiki, że „agendą Kremla" są czterdzieści i cztery przypadki poważnego wsparcia sprzętowego będącej w gorącym konflikcie z tymże Kremlem Ukrainy, a pięć transz pomocy to absolutny cios nie tylko w Kreml, ale wręcz w krocze Putina. Przyznam, że ten pomysł zarządzania kryzysem związanym z dostawą rakiet na Ukrainę jest bardzo ryzykowny. Konsekwentnie, jeśli to nie zadziała, należałoby iść w oskarżenia, że „PiS to Ukraina", co byłoby co najmniej tak samo żałosne, ale przynajmniej w jakiś sposób zabawne.

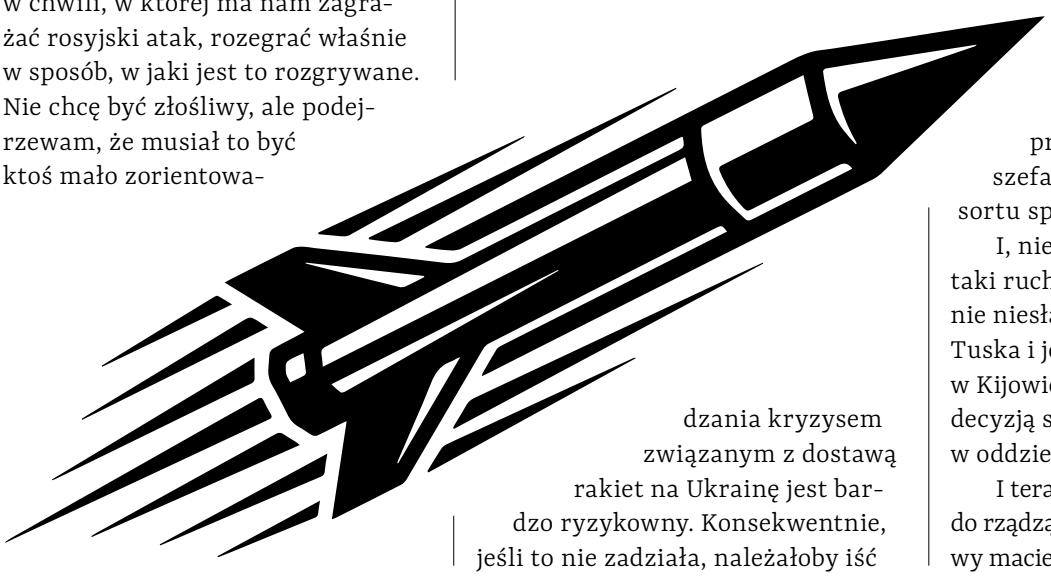

W moim drugim pytaniu niestety nic zabawnego się nie pojawi. Bo dotyczy ono już nie naszego wewnętrznego, politycznego cyrku, tylko naszych relacji z sąsiadami. A właściwie z jednym sąsiadem. Ujawnienie, że przekazaliśmy jakiś, niezbyt odległy, czas temu istotne elementy naszego bezpieczeństwa Ukrainie, musi zostać teraz powiązane z tym, co stało się istotą polsko-ukraińskiego sporu dyplomatycznego. Nie wygląda to dobrze ani dla władz Ukrainy, ani też dla naszych władz. Bo chyba się nie pomylę w stwierdzeniu, że niedługo po otrzymaniu naszych Patriotów Ukraińcy, dość ostentacyjnie, zaczęli czcić swoich „patriotów". I trzeba uznać to za mocny policzek przede wszystkim wobec szefa naszego rządu i szefa resortu spraw zagranicznych.

I, niestety nie jest to pierwszy taki ruch. Narzuca się przypomnienie niesławnej wizyty Donalda Tuska i jego europejskich kolegów w Kijowie. Ta, którą nasz premier, decyzją strony ukraińskiej, odbył w oddzielnym wagonie.

I teraz czas na moje pytanie do rządzących obecnie Polską. Czy wy macie choć odrobinę godności?

eprasa.pl 2dc4a65eb2

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO



Sławomir Jastrzębowski

Żeby tylko Sierzputowski nie został sędzią!

Mamy to! Mamy wreszcie w Polsce jak w najnikczemniej poniżających człowieka dystopiach prawdziwe sądy myśli i sędziów myśli. Mamy wreszcie Orwella smak nad Wisłą (choć akurat nad Odrą). Łańcuchowcy w togach wdzierają się już do głów oskarżonych i po rozglądnięciu się wyrokują: „Wiemy, wiemy, nicponiu, co naprawdę chciałeś powiedzieć i co pomyślałeś. Będziemy cię sądzić nie za to, co powiedziałeś, ale za to, co miałeś na myśli, a co miałeś, to sobie sami wymyślimy i ogłosimy, albowiem możemy, a poza tym bezkarni jesteśmy. I co nam zrobisz?”.

Ale po kolei. Otóż pan Krzysztof z Wrocławia w roku 2024 protestował (bo niby w demokracji człowiek może, ale w demokracji Donalda Tuska to już niekoniecznie) przed powodziowym sztabem kryzysowym między innymi z powodu niewpuszczenia na obrady sztabu telewizji Republika. No, bo ci z Republiki to nie chcą uprawiać prorządowej propagandy, więc zawsze z nimi problemy. Oczywiście prawo zabrania niewpuszczania jednych mediów, kiedy się wpuszcza inne, ale mówimy tu o kraju rządzonym jeszcze przez Tuska, więc nie rozwinę wątku. No i pan Krzysztof krzyczał w formie protestu odważnie: „Nie bać Tuska!”.

PRAWO ZABRANIA NIEWPUSZCZANIA JEDNYCH MEDIÓW, KIEDY SIĘ WPUSZCZA INNE, ALE MÓWIMY TU O KRAJU RZĄDZONYM JESZCZE PRZEZ TUSKA.

Okrzyk jak okrzyk, zachęcający do odwagi właśnie, do sprzeciwu przeciw premierowi łamiącemu prawo, kłamiącemu patologicznie i tak dalej. Żadnego znieważenia ani wulgaryzmu tu nie ma, bo nie ma, gdyż nie ma. Ale, ale! O tym, czy jest znieważenie z wulgaryzmem, decydują policja, prokuratura, a wreszcie sąd myśli, który przedostanie się niczym w Orwellu przez czaszkę delikwenta i się tam będzie rozglądał. Pochwycili więc policjanty pana Krzysztofa i w myśl starego bezczelnego numeru próbowali przypisać mu także napaść na funkcjonariuszy. Na cząstkowe szczęście obywatela z interwencji nagrano filmik, na którym widać, jak na Bogu ducha winnego pana Krzysztofa rzuca się funkcjonariuszy sfora i obala go. Napaść tym razem nie przeszła, ale łańcuchowcy w togach zaczęli kombinować i wykombinowali. Otóż ludzie, którzy są zatrudnieni jako sędziowie, stwierdzili, że co prawda pan Krzysztof krzyczał: „Nie bać Tuska!”, ale oni wymyślili, że chciał krzyczeć: „Je**ć Tuska!”, a to już zniewaga, oj, jaka to jest zniewaga... Jaka? Jeśli „Nie bać Tuska” jest zniewagą, to jest to zniewaga powszechna, wykrzykiwana na marszach, w mediach, skan-

eprasa.pl 2dc4a65eb2

dowana i śpiewana powszechnie na opozycyjnych zgromadzeniach. Skazać trzeba by miliony, ale, ale... Po takiej sądowej protezie rozumowania łańcuchowcy w togach ustalili w totalnej opozycji do wolności słowa, gwarantowanej przez art. 54 Konstytucji: „1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich opinii oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji", że jak się nie boisz, to zniewaga.

Czyli uporządkujmy, sędziowie wzięli i uznali sobie, że ten okrzyk, chociaż sam w sobie wulgarny oczywiście nie jest, to jednak sędziom wziął i się skojarzył wulgarnie. I tu jest pewien problem: bo czy wykrzykujący hasło jest odpowiedzialny za to, jak to hasło się komuś skojarzy? No nie, nie jesteśmy panami cudzych skojarzeń, jesteśmy panami wypowiadanych przez nas słów. Nie ma żadnej możliwości udowodnienia, że pan Krzysztof chciał znieważyć i poniżyć, chociaż może chciał, a może nie chciał. Korzystał z wolności słowa, ale w dyktaturach wolność słowa nie istnieje. To znaczy istnieje, owszem, ale nie dla wszystkich. Teraz wróćmy do skojarzeń naszych łańcuchowców. Bo – czysto teoretycznie – jeśli na przykład rzeknę: „Deszcz pada już kilka godzin", albo „Mam za ciasne buty", a sędzia się temu przypatrzy wnikliwie i powie w prawomocnym wyroku, bo nadmieńmy, że za „Nie bać Tuska", choć cuchnie to białoruskim i ruskim standardem, pan Krzysztof został prawomocnie skazany, więc sędzia powie: „Ty, Jastrzębowski, niby tu o deszczu i butach, ale my wiemy dokładnie, że chciałeś ubliżyć naszemu słońcu Donaldowi Tuskowi. Nam się tu jednoznacznie skojarzyło, że ty wulgarnie naprawdę myślałeś o naszym skarbie europejskim". Niemożliwe? A były takie przypadki opisane choćby w literaturze polskiej – z „Pięknych dwudziestoletnich" Marka Hłaski dowiedzieliśmy się nazbyt wiele o skojarzeniach. Pozwolą Państwo, że posłużę się przykładem:

„Szkoła. Nauczyciel bada stopień inteligencji swoich uczniów. Wyjmuje z kieszeni białą chusteczkę.

Nauczyciel: – Kowalski – z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Kowalski: – Z dymem ognisk i mgłami.

Nauczyciel: – Dlaczego?

Kowalski: – Bo jesienią mam zawsze katar, a mgły i dymy z pastuszych ognisk widzimy najczęściej jesienią.

Nauczyciel: – Doskonale, Kowalski. Masz przed sobą przyszłość. Siadaj.

(do następnego) – Rappaport. Z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Rappaport: – Z wakacjami.

Nauczyciel: – Dlaczego?

Rappaport: – Bo kiedy wyjeżdżam na obóz młodzieży katolickiej, to mama zawsze stoi na peronie i powiewa mi chusteczką.

Nauczyciel: – Doskonale, Rappaport. Masz przed sobą przyszłość.

(do następnego) – Sierzputowski – z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Z ostatniej ławki podnosi się ponury olbrzym. Pryszczaty. Widać, że mimo najszczerszych wysiłków woli nie udaje mu się przerobić jednej klasy w terminie krótszym jak trzy lata. Kamera najeżdża na twarz Sierzputowskiego.

Close up. Widać olbrzymi wysiłek myśli malujący się na twarzy nieszczęsnego olbrzyma.

Sierzputowski: (bełkoce ku ogólnemu zadowoleniu) – Z dupą, panie profesorze.

Close up to the teacher.

Nauczyciel: – Z dupą? Chusteczka? Dlaczego?

Close up to Sierzputowski.

Sierzputowski: (zwycięsko) – Bo mnie się wszystko z dupą kojarzy".

– Sądy przestały być już władzą wymierzającą sprawiedliwość, a stały się władzą polityczną zabezpieczającą określony kierunek ideowo-polityczny. Takim „zbrojnym ramieniem" liberalno-lewicowych sił politycznych – powiedział niedawno mecenas Bartosz Lewandowski.

MAMY WRESZCIE W POLSCE JAK W NAJNIKCZEMNIEJ PONIŻAJĄCYCH CZŁOWIEKA DYSTOPIACH PRAWDZIWE SĄDY MYŚLI I SĘDZIÓW MYŚLI.

NIE JESTEŚMY PANAMI CUDZYCH SKOJARZEŃ, JESTEŚMY PANAMI WYPOWIADANYCH PRZEZ NAS SŁÓW.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Historia, czyli DOMINACJA

Demonstracyjne sakryfikowanie UPA przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, odpowiedź w postaci odebrania mu Orderu Orła Białego i w ogóle wszystko, co nastąpiło pomiędzy Polską a Ukrainą, skłaniają do pytania: Czy uzgodnienie **wspólnej wersji historii** pomiędzy dwoma narodami jest w ogóle możliwe?

Piotr Skwieciński

Kiedy ktoś podnosi tę kwestię, pojawia się z reguły dyżurny przykład Niemiec i Francji jako ilustracja tezy, że nie tylko jest to możliwe, ale też niezbędne – w ramach budowania wspólnej przyszłości. I rzeczywiście – biorąc pod uwagę dzieje obu narodów i mnogość konfliktów między nimi, z apogeum w postaci obu (a zwłaszcza pierwszej) wojen światowych, jest to osiągnięcie spektakularne.

Podobnie spektakularne jak niepowodzenie historycznego dialogu polsko-żydowskiego. Trwającego od lat co najmniej 70, ciągniętego najpierw przez kręgi najbardziej intelektualne i stopniowo się rozszerzającego. Dialogu, który – wydawało się długo – powoli przekształcał wzajemne postrzeganie się obu



Masowa mogiła ofiar UPA odkryta w Woli Ostrowieckiej

Fot. Wikipedia

eprasa.pl 2dc4a65eb2

narodów. Czy może szerzej – obu narodów i obu grup pochodzeniowych, bo przecież ważną rolę odgrywają w nim również obywatele RP pochodzenia żydowskiego, czujący się od zawsze Polakami.

Złudność tych nadziei wykazał kryzys roku 2018 związany z (skądinąd kiepsko przemyślaną, zdradzającą niewiedzę jej twórców na temat i wrażliwości drugiej strony i jej możliwości propagandowo-narracyjne) nowelizacją ustawy o IPN. Nowelizacją wprowadzającą kary za przypisywanie narodowi polskiemu odpowiedzialności za Holocaust. To, co nastąpiło potem w przestrzeni publicznej, uwidoczniło ogromną różnicę wrażliwości i pamięci historycznej pomiędzy Polakami a Żydami. Różnicy istniejącej także wcześniej, ale słabo dostrzeganej chyba głównie dlatego, że po polskiej stronie bardzo nie chciano jej dostrzegać, a po żydowskiej (w sensie: izraelskiej i diaspory pozapolskiej) – wszystkie sprawy związane z Polską traktowano jako marginalne.

Wnioski z walca

Zauważmy przy tym, że fakt, iż między Polską a Izraelem w latach poprzedzających wybuch konfliktu panowała międzypaństwowa harmonia czy nawet więcej – współpraca, na przykład między służbami specjalnymi, zwiększała się wymiana gospodarcza i ruch turystyczny, nie zniwelował napięć historycznych ani nie wyeliminował możliwości ich eksplozji przy pierwszej okazji.

Z ustawy strona polska zdołała wycofać się z honorem w zamian za wspólną deklarację obu rządów, zrównującą antypolonizm z antysemityzmem. Jednak ówczesny konflikt, pamięć o propagandowej agresji ze strony Izraela i diaspory, na kształt walca prasującej wtedy Polskę w skali ogólnoświatowej, i przedostanie się do polskiej świadomości wiedzy o tym, że w Izraelu zajmowanie postawy antypolskiej jest wyborczo popłatne, spowodowały, iż w naszej opinii publicznej po raz pierwszy zaczęła – chyba – przeważać opinia „dialogosceptyczna".

Opinia, iż po pierwsze trzeba przyjąć do wiadomości, że wyidealizowane przez naszą pamięć wspomnienia o niegdysiejszym wspólnym bytowaniu są kompletnie niekompatybilne ze wspomnieniami Żydów, a po drugie – że uzgodnienie wspólnej wersji historii czy wręcz wspólnej pamięci jest po prostu niemożliwe. Że zawsze będą istnieć pamięć polska i pamięć żydowska, że zawsze będą one w dużym stopniu ze sobą sprzeczne, i trzeba uznać taką sytuację za trwałą.

Bardzo charakterystyczna sytuacja panuje pod tym względem na południowym Kaukazie. I Ormianie, i Azerowie uważają drugą stronę za oprawców, a siebie za ofiary, i obie gwałtownie nie chcą zaakceptować w żadnym stopniu odmiennej perspektywy. O ile w autorytatywnym Azerbejdżanie istnieje pod tym względem całkowita jedność wizji przeszłości, o tyle w demokratycznej Armenii możliwe są głosy bardziej zniuansowane, ale zasadniczo obraz też jest czarno-biały.

Podobnie jest pomiędzy Serbami a Albańczykami z Kosowa, a także poszczególnymi nacjami wchodzącymi w skład Bośni i Hercegowiny.

> I ORMIANIE, I AZEROWIE UWAŻAJĄ DRUGĄ STRONĘ ZA OPRAWCÓW, A SIEBIE ZA OFIARY, I OBIE GWAŁTOWNIE NIE CHCĄ ZAAKCEPTOWAĆ W ŻADNYM STOPNIU ODMIENNEJ PERSPEKTYWY.

Znajdzie sobie ujście

Z drugiej jednak strony warto odnotować, że ranga sporów o historię pomiędzy na przykład Polską a Litwą, sporów niezwykle intensywnie wpływających na wzajemne postrzeganie się i kształt relacji jeszcze w latach 90., bardzo spadła. Praca historyków obu stron zredukowała może nie liczbę punktów, które strony postrzegają rozbieżnie, ile skalę tych rozbieżności. Odsetek ludzi po obu stronach (zwłaszcza litewskiej, gdzie niegdyś sporom z Polską udzielano większej społecznej uwagi niż

> MOŻLIWOŚĆ UZGODNIENIA, DO PEWNEGO STOPNIA, WSPÓLNEJ WERSJI HISTORII NIE JEST OCZYWISTA, ALE TEŻ NIE ZAWSZE JEST UTOPIĄ.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

w naszym kraju), dla których jest to ważny element tożsamości czy też jeden z ważnych pryzmatów, przez który postrzegają świat, zmniejszył się radykalnie.

Innymi słowy – możliwość uzgodnienia, do pewnego stopnia, wspólnej wersji historii nie jest oczywista, ale też nie zawsze jest utopią. W części przypadków tego rodzaju działanie udaje się, w części nie.

Ale kiedy? Można tu pokusić się o postawienie pewnych tez.

Po pierwsze, możliwość takiej zmiany staje się bardziej prawdopodobna, kiedy oba kraje są – lub stają się – częścią jednej przestrzeni kulturowej. Ogólne upodobnianie się sprzyja również złagodzeniu spojrzenia na różnice historyczne.

Po drugie, sprzyja temu również redukcja znaczenia, jakie w objętych konfliktem społeczeństwach przywiązuje się w ogóle do historii jako takiej.

Po trzecie wreszcie, sprzyja temu także bardzo zauważalne zmniejszanie wagi samych tożsamości narodowych, charakterystyczne zwłaszcza dla Europy Zachodniej po II wojnie światowej. Tu przykład i model francusko-niemiecki jest najbardziej chyba poglądowy.

Analogiczne zjawisko nie jest natomiast możliwe, jeśli skonfliktowane historycznie narody nie należą do jednej przestrzeni kulturowej i/lub nie przechodzą procesu redukcji znaczenia narodowej tożsamości. Zauważmy przy tym, że w takim wypadku konflikt pamięci i wrażliwości historycznej nie jest skutecznie łagodzony, nawet jeśli dane państwa współpracują ze sobą (przykład Polski i Izraela czy Izraela i Turcji), czy wręcz jeśli ich rządom na wszechstronnej redukcji napięć między społeczeństwami zależy (jak między II RP a III Rzeszą w latach 30. czy do pewnego momentu między III RP a RFN). Gdy tylko okoliczności polityczne na to pozwolą, napięcia, nawet jeśli przedtem tłumione, znajdują sobie ujście i wybuchają z jeszcze większą siłą.

Żeby nie było gorzej

Można więc zaryzykować tezę, że jeśli oba skonfliktowane historycznie narody nie należą do wspólnej, większej i integrującej się przestrzeni cywilizacyjnej, to próby zniwelowania tego konfliktu są, niezależnie od stopnia usilności starań, skazane na bezskuteczność. Co nie znaczy, że nie można starać się ich nie eksponować, a może nawet łagodzić. Przede wszystkim – unikać jątrzących gestów, nie po to, żeby wierzyć, iż dzięki temu stanie się lepiej, tylko żeby nie zrobiło się gorzej. W Polsce nie buduje się pomników tych antykomunistycznych partyzantów, których zbyt łatwo można powiązać z mordowaniem Żydów, a w Izraelu, mimo wszystko, nie buduje się pomników ku czci Żydowskich Ubeków.

Przede wszystkim jednak – w takiej rzeczywistości, kształtując i realizując politykę historyczną, trzeba kierować się nie tylko dążeniem do naukowej prawdy. Trzeba też – choć absolwentowi studiów historycznych, a zarazem wyznawcy tezy Melchiora Wańkowicza o tym, że prawda bywa różna w zależności od tego, pod jakim kątem patrzeć na rzeczywistość, ciężko przechodzi to przez usta – kierować się wymogami gry.

Bo wtedy, kiedy druga strona nie uznaje paradygmatu prymatu obiektywnej prawdy nad mitem, mamy niestety do czynienia z używaniem historycznej narracji dla psychologicznego zdominowania partnera. A to jest swego rodzaju gra o sumie zerowej. W takiej grze współpraca nie popłaca, bo nie ma tu zastosowania formuła win-win. Wygrywa ten, kto jest bardziej konsekwentny i bezwzględny. Tę sytuację (filozofię) dobrze, jeszcze w 2017 roku, oddał publicysta Tomasz Gabiś:

„Wyznam szczerze, że odczuwam nawet pewien respekt, ba, podziw wobec Ukraińców (podobnie wobec Turków), że nie pozwalają sobie narzucić takiej wersji historii, w której obsadzeni zostają w roli sprawców «ludobójstwa», że nie mają zamiaru zaakceptować siebie jako «czarnych charakterów» w historycznym dramacie" – pisał Gabiś. „Świadczy to o jakiejś witalności narodu ukraińskiego (podobnie jak tureckiego), o zewnętrznej, ale i wewnętrznej (duchowej) suwerenności. Jedynie

KIEDY DRUGA STRONA NIE UZNAJE PARADYGMATU PRYMATU OBIEKTYWNEJ PRAWDY NAD MITEM, MAMY DO CZYNIENIA Z UŻYWANIEM HISTORYCZNEJ NARRACJI DLA PSYCHOLOGICZNEGO ZDOMINOWANIA PARTNERA.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

narody zwyciężone, niesuwerenne, podbite także w sensie duchowym (jak śpiewa w «Targu» Jacek Kaczmarski: «Na dachach naszych domów/ Posągi obcych bogów/ Przed nimi my w pokłonach/ Na naszym własnym progu»), narody z przetrąconym kręgosłupem moralnym i politycznym, z wypranymi mózgami i charakterami, wykastrowane duchowo, godzą się na to, żeby inni – niczym kapłani zwycięskiej religii – narzucali im swoją «prawdę», swoje «prawa», swoją «filozofię życiową», rozliczali ich ze zbrodni i win, żądali od nich, aby prosili o wybaczenie, co jest równoznaczne z dążeniem do osiągnięcia moralnej supremacji. Elita ukraińska, nie uznając polskiej narracji, w której Ukraińców obsadzono w roli «ludobójców», robi to, co każda dbająca o swój narodowy interes elita polityczna powinna czynić: nie dopuszcza, żeby obcy mieli sposobność przygniecenia jej głowy do ziemi, kiedy będzie się kajała za grzechy przodków. Podobnie czynią Turcy, nie chcąc uznać wersji historii, w której są «ludobójcami», czy japońscy patrioci pragnący prowadzić własną politykę pamięci, a nie tę narzucaną Japonii przez Waszyngton i Pekin".

To jest powiedziane naprawdę ostro. Ale nie trzeba koniecznie godzić się z Gabisiową fascynacją, nazwijmy rzecz po imieniu – skutecznym i konsekwentnie powtarzanym kłamaniem, by stwierdzić, że w pewnej rzeczywistości, takiej, w której partner reprezentuje taką właśnie postawę, w jakimś zakresie tak trzeba.

Nie (tylko) o prawdę chodzi

Na przykład – naród, który da sobie narzucić wobec partnera postawę wyrzutów sumienia, spowodowanych swoimi rzekomymi winami, może łatwo osunąć się we wszechstronne i niekończące się zadośćuczynianie. W realizowanie paradygmatu zgodliwości za wszelką cenę. Ofiarowywanie partnerowi raz za razem kolejnych narracyjnych podarunków w nadziei, że w końcu on przecież, ujęty naszą wspaniałomyślnością, nas polubi i wreszcie uzna za brata. Tymczasem jest oczywiste, że taki partner każdy podarunek, złożony przez nas na ołtarzu przyszłej przyjaźni i pojednania, weźmie, nie pokwituje (nawet nie zauważy albo przynajmniej uda, że nie zauważył) i zażąda więcej.

> JEŚLI OBA SKONFLIKTOWANE HISTORYCZNIE NARODY NIE NALEŻĄ DO WSPÓLNEJ PRZESTRZENI CYWILIZACYJNEJ, TO PRÓBY ZNIWELOWANIA TEGO KONFLIKTU SĄ SKAZANE NA BEZSKUTECZNOŚĆ.

A ponieważ człowiek jest jednością i trudno mu reagować zupełnie inaczej w sferze symboliki i emocji, a inaczej w tej najbardziej realnej, to postawa niekończących się i nieodwzajemnianych ustępstw w obszarze, mówiąc po marksistowsku, nadbudowy może bardzo łatwo skończyć się akceptacją statusu bytu zdominowanego również w obszarze bazy, czyli tym już jak najbardziej będącym domeną polityki realnej.

Dobrze wiedzą o tym architekci polityki izraelskiej. Dobrze wiedzą o tym również, jak wszystko na to wskazuje, ci, którzy kształtują strategię Kijowa.

> NARÓD, KTÓRY DA SOBIE NARZUCIĆ WOBEC PARTNERA POSTAWĘ WYRZUTÓW SUMIENIA, MOŻE ŁATWO OSUNĄĆ SIĘ WE WSZECHSTRONNE I NIEKOŃCZĄCE SIĘ ZADOŚĆUCZYNIANIE.

Politykę pokuty, skruchy, symbolicznych ustępstw i stuprocentowej akceptacji niewygodnej prawdy można bezpiecznie prowadzić tylko w jednym wypadku. Mianowicie z pozycji podmiotu we wszelkich innych obszarach znacznie potężniejszego od partnerów, podmiotu, dla którego znalezienie się w relacjach z nimi w pozycji innej niż całkowicie dominującej jest po prostu czymś z dziedziny fantastyki. Na przykład – będąc Niemcami wobec krajów okupowanych w czasach II wojny.

A to nie jest pozycja Polski wobec Ukrainy.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

KULTURA

Czytaj też:
Ostatnie życzenie 60

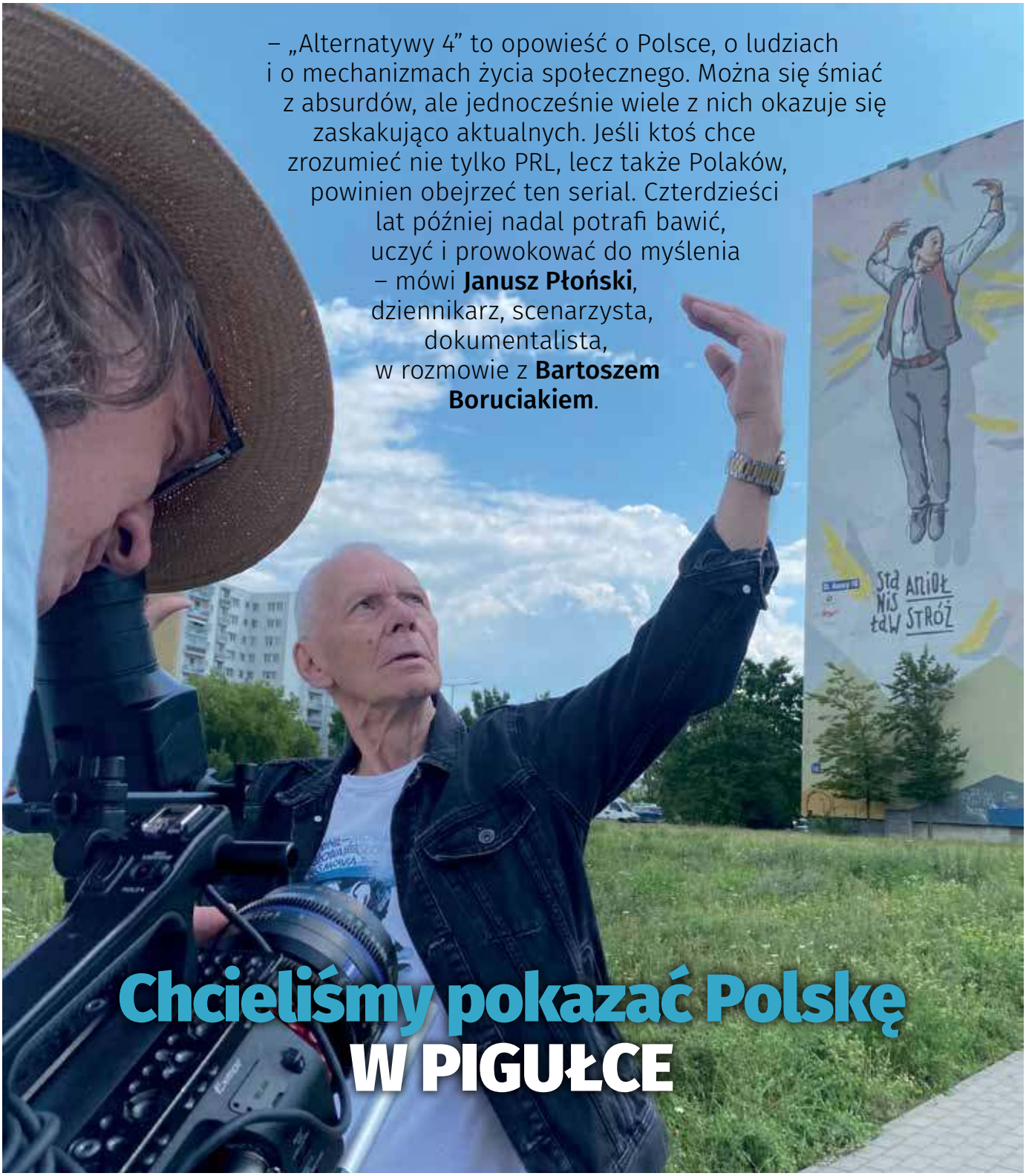

– „Alternatywy 4” to opowieść o Polsce, o ludziach i o mechanizmach życia społecznego. Można się śmiać z absurdów, ale jednocześnie wiele z nich okazuje się zaskakująco aktualnych. Jeśli ktoś chce zrozumieć nie tylko PRL, lecz także Polaków, powinien obejrzeć ten serial. Czterdzieści lat później nadal potrafi bawić, uczyć i prowokować do myślenia – mówi **Janusz Płoński**, dziennikarz, scenarzysta, dokumentalista, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Chcieliśmy pokazać Polskę W PIGUŁCE

Fot. arch. rozmówcy

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Właśnie mija 40 lat od pierwszej emisji, a serial „**Alternatywy 4**” wciąż żyje. TVP emituje go na wielu kanałach, widownia jest nadal serialem zainteresowana. Cytaty z serialu przeniknęły do naszego życia codziennego. Janusz Płoński jest ostatnim żyjącym współautorem scenariusza tego dzieła, jednocześnie autorem książki „Alternatywy 4 – przewodnik po serialu i rzeczywistości” odsłaniającej kulisy produkcji oraz przygód z cenzurą oraz ówczesnymi władzami.

– „Alternatywy 4” po czterdziestu latach nadal są oglądane i komentowane. Skąd wziął się pomysł na ten serial?

– Pomysł narodził się w czasach, gdy razem z Maćkiem Rybińskim pracowaliśmy w jednej redakcji. Pisaliśmy reportaże, felietony, kryminały. Dużo podróżowaliśmy po Polsce i obserwowaliśmy ludzi. W pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że warto byłoby stworzyć opowieść, która pokaże Polskę w miniaturze. Chcieliśmy znaleźć taką sytuację, w której spotkają się ludzie z różnych środowisk, zawodów i klas społecznych. Tak narodziła się idea nowo zasiedlanego bloku.

– Dlaczego właśnie blok mieszkalny?

– Bo to było miejsce wyjątkowe. W normalnym życiu profesor raczej nie spotykałby się codziennie z robotnikiem, kierowcą czy drobnym kombinatorem. Tymczasem w nowym bloku wszyscy trafiali pod jeden adres. Nagle musieli żyć obok siebie, rozwiązywać wspólne problemy, tworzyć sąsiedzką wspólnotę. To dawało ogromne możliwości opowiadania historii.

– Od początku wiedzieliście, że potrzebna będzie postać gospodarza domu?

– Tak. Bardzo szybko pojawił się pomysł stworzenia człowieka, który będzie próbował zarządzać tą społecznością. Nie tylko pilnować porządku, ale także budować własną pozycję. W tamtych czasach kariera polityczna miała większe znaczenie niż finansowa. Władza była czymś, do czego wielu ludzi dążyło. Stanisław Anioł stał się symbolem takiego myślenia.

– Wielu widzów uważa go za metaforę systemu.

– I słusznie. Anioł reprezentował władzę, choć nie była to władza nazwana wprost. Interesowały nas mechanizmy jej działania. Jak można manipulować ludźmi? Jak budować wpływy? Jak skłócać jednych z drugimi, by łatwiej nimi zarządzać? To były rzeczy znacznie ważniejsze od bieżącej polityki.

STANISŁAW ANIOŁ REPREZENTOWAŁ WŁADZĘ, CHOĆ NIE BYŁA TO WŁADZA NAZWANA WPROST. INTERESOWAŁY NAS MECHANIZMY JEJ DZIAŁANIA.

– „Alternatywy 4” od początku miały być satyrą na PRL?

– Chcieliśmy przede wszystkim opowiadać o rzeczywistości, którą znaliśmy. Oczywiście PRL był naturalnym tłem, ale nie chodziło nam wyłącznie o krytykę systemu. Bardziej interesowali nas ludzie i absurd codzienności. To właśnie dlatego serial przetrwał próbę czasu. Wiele sytuacji można odnieść do różnych epok.

– W rozmowie wspominałeś, że inspiracją była codzienna obserwacja życia.

– Zdecydowanie. Jako dziennikarze jeździliśmy po całym kraju. Spotykaliśmy setki ludzi. Słuchaliśmy ich historii. Widzieliśmy urzędy, zakłady pracy, kolejki, osiedla, zebrania, absurdy administracji. To wszystko później wracało w scenariuszu. Wielu widzów myślało, że wymyślaliśmy niestworzone historie, tymczasem większość z nich miała swoje źródło w rzeczywistości.

– Pracowaliście wtedy w tygodniku „itd”.

– Tak. To był „Tygodnik Studencki itd”, bardzo ważne miejsce dla wielu młodych dziennikarzy. Dawał sporą swobodę. Oczywiście funkcjonowaliśmy w realiach PRL, więc każdy tekst przechodził przez cenzurę, ale mimo wszystko mogliśmy pozwolić sobie na więcej, niż mogłoby się dziś wydawać.

– Jak wyglądało funkcjonowanie cenzury od środka?

– Dla współczesnych młodych ludzi to niemal abstrakcja. Cenzura była po prostu częścią systemu. Wiedzieliśmy, że istnieje i że pewnych granic nie da się przekroczyć. Nikt rozsądny nie pisał rzeczy, które z góry skazywały tekst na odrzucenie. Pojawiło się natomiast coś, co dziś brzmi nieco dziwnie – autocenzura.

– Czyli?

– Wiedzieliśmy, w jakiej przestrzeni możemy się poruszać. A w tej przestrzeni staraliśmy się być maksymalnie kreatywni. Ogromną rolę odgrywała aluzja. Nie pisało się czegoś wprost. Dawało się czytelnikowi sygnały. Inteligentny odbiorca odczytywał je bez problemu.

– To właśnie dlatego twórczość Stanisława Barei jest dziś tak często analizowana?

– Między innymi. Bareja doskonale rozumiał siłę niedopowiedzenia. Tworzył komedie, które można

eprasa.pl 2dc4a65eb2

było oglądać na kilku poziomach. Jedni widzieli zabawną historię, inni dostrzegali znacznie głębszy komentarz społeczny. Dzięki temu jego filmy funkcjonowały w oficjalnym obiegu, a jednocześnie przekazywały coś więcej.

– Jak telewizja zareagowała na pomysł „Alternatyw 4”?

– Na początku nie zareagowała wcale. Wysłaliśmy do telewizji kilkustronicowy opis serialu. Nie korzystaliśmy z żadnych znajomości. Po prostu wysłaliśmy materiał na adres telewizji i czekaliśmy.

– Jak długo?

– Dwa lata.

– Dwa lata?

– Tak. Po dwóch latach zadzwoniła do nas pewna pani i zapytała, czy pomysł jest jeszcze aktualny. Okazało się, że nowy szef znalazł projekt w szufladzie i uznał, że warto się nim zainteresować.

– Brzmi jak historia z filmu.

– Trochę tak było. Zaproszono nas na rozmowę i wyjaśniono procedurę. Najpierw mieliśmy przygotować rozbudowane opisy odcinków, tak zwane nowele. Telewizji spodobał się kierunek, ale pojawił się problem.

– Brak doświadczenia filmowego?

– Dokładnie. Byliśmy dziennikarzami i pisarzami, ale nie scenarzystami filmowymi. Zaproponowano nam współpracę z reżyserem, który miał wprowadzić nas w tajniki tej pracy. Spotkanie nie przebiegło najlepiej. Bardzo szybko uznaliśmy, że kompletnie się nie rozumiemy.

– I wtedy pojawił się Stanisław Bareja.

– Tak. To telewizja zaproponowała Bareję. Dziś może się to wydawać oczywiste, ale wtedy była to dla nas ogromna szansa. Bareja miał jedną bezdyskusyjną zaletę – potrafił przyciągnąć publiczność. Jego filmy i seriale oglądały tłumy.

Janusz Płoński

(ur. 1947 r. w Szczecinie) – polski dziennikarz, scenarzysta, dokumentalista. W latach 1970–1980 pracował w „Tygodniku Studenckim itd”, następnie wyjechał do Niemiec, gdzie jako autor, reżyser i producent współpracował z telewizjami ZDF, SWR, Bayerischer i Hessischer Rundfunk, dla których zrealizował ok. 20 filmów dokumentalnych i reportaży. Współautor (wraz z Maciejem Rybińskim i Stanisławem Bareją) scenariusza serialu „Alternatywy 4”. Współautor scenariusza 13-odcinkowej kontynuacji serialu „Alternatywy 4” – „Dylematu 5”. Współautor książek: „Góralskie tango”, „Balladyna Superstar – git czytanka z momentami”, „Brakujące ogniwo”, „Wielka Islandzka”. Autor książek: „Elvis – dlaczego ja, Panie”, „Janusz Płoński – kandydat na prezydenta”, „Alternatywy 4 – przewodnik po serialu i rzeczywistości” oraz wydanej w 2025 r. „Kamień z księżyca”. Autor ponad dwustu reportaży zrealizowanych dla Superstacji.

– Jakim był współpracownikiem?

– Przede wszystkim świetnie rozumiał absurd. Potrafił wychwycić komizm sytuacji, który innym umykał. Jednocześnie miał świadomość ograniczeń epoki. Wiedział, jak opowiadać o rzeczywistości, by przejść przez wszystkie formalne bariery.

– Dziś wielu ludzi uważa go za bezlitosnego krytyka PRL.

– Bo nim był. Tyle że robił to bardzo sprytnie. Oficjalnie tworzył komedię. Można było powiedzieć: „To tylko żart”. Ale pod powierzchnią znajdowała się bardzo trafna diagnoza społeczna. I właśnie ta podwójność sprawiała, że jego twórczość była tak skuteczna.

– Cenzura dostrzegała te znaczenia?

– Czasami tak, czasami nie. Trzeba pamiętać, że cenzorzy też byli ludźmi. Nie zawsze chcieli walczyć z każdym szczegółem. Niejednokrotnie przymykali oko na rzeczy, które dziś wydają się oczywiste. Dzięki temu powstawały znakomite filmy, spektakle teatralne czy kabarety.

– Współczesny widz często wyobraża sobie PRL wyłącznie jako rzeczywistość zakazów.

– To był bardziej skomplikowany świat. Nie zamierzam go idealizować, ale warto pamiętać, że właśnie wtedy powstały dzieła, które do dziś są ważną częścią polskiej kultury. Artyści nauczyli się mówić między wierszami. A odbiorcy nauczyli się takie komunikaty odczytywać.

BAREJA DOSKONALE ROZUMIAŁ SIŁĘ NIEDOPOWIEDZENIA. TWORZYŁ KOMEDIE, KTÓRE MOŻNA BYŁO OGLĄDAĆ NA KILKU POZIOMACH.

– I być może dlatego „Alternatywy 4” nadal działają?

– Myślę, że tak. Ten serial opowiada o konkretnej epoce, ale jednocześnie mówi o rzeczach uniwersalnych. O ludzkich ambicjach, małych oszustwach, marzeniach i konfliktach. O tym, jak funkcjonuje władza i jak funkcjonuje wspólnota. To się nie starzeje.

– Po czterdziestu latach od premiery „Alternatywy 4” wciąż są

eprasa.pl 2dc4a65eb2

emitowane i oglądane. Spodziewałeś się, że serial osiągnie aż taki status?

– Absolutnie nie. Kiedy pisaliśmy scenariusz, zależało nam przede wszystkim na stworzeniu dobrej opowieści. Nikt nie myślał kategoriami kultowości. Nie było przecież mediów społecznościowych, rankingów internetowych ani całego tego mechanizmu budowania legendy. Serial miał po prostu trafić do widzów. Tymczasem okazało się, że żyje własnym życiem od kilkudziesięciu lat.

– Dziś można odnieść wrażenie, że „Alternatywy 4" są wręcz nieśmiertelne.

– Coś w tym jest. Zdarza mi się żartować, że ten serial starzeje się odwrotnie niż ludzie. Im jest starszy, tym młodszy się wydaje. Na początku odbierano go głównie jako zabawną komedię o mieszkańcach bloku. Potem zaczęto dostrzegać kolejne warstwy znaczeń. Dziś młodzi widzowie oglądają go często jak dokument epoki, a starsi odnajdują w nim wspomnienia własnego życia.

– Wspominałeś, że pierwsze recenzje były zaskakujące.

– Owszem. Niektórzy recenzenci sprowadzali cały serial do historii dozorcy. To było bardzo wygodne dla systemu. Jeśli ktoś uznawał, że opowiadamy wyłącznie o jednym nadgorliwym gospodarzu domu, to nie musiał zastanawiać się nad szerszym znaczeniem serialu. Widzowie byli jednak znacznie bardziej przenikliwi.

– Dzisiejsi odbiorcy też?

– Nie zawsze. To może zabrzmi przewrotnie, ale mam wrażenie, że dawniej publiczność była bardziej wyczulona na aluzję. Ludzie byli przyzwyczajeni do czytania między wierszami. Musieli to robić nie tylko w filmach, ale również w gazetach, teatrze czy kabarecie. Dzisiaj bardzo często wszystko podaje się wprost.

– Napisałeś książkę poświęconą „Alternatywom 4".

– Tak, ponieważ zauważyłem, że wiele znaczeń zaczyna się zacierać. Młodszy widz nie zawsze wie, dlaczego dana scena była zabawna albo dlaczego określone zachowanie miało dodatkowy sens polityczny czy społeczny. Chciałem pozostawić coś w rodzaju przewodnika po serialu.

– Książka była próbą dopowiedzenia tego, czego nie można było powiedzieć wprost?

– W pewnym sensie tak. Po latach można już spokojnie opowiadać o kulisach powstawania serialu, o inspiracjach i o tym, jak wyglądała codzienność PRL. Dla wielu osób jest to już historia równie odległa jak międzywojnie dla mojego pokolenia.

OBSADA BYŁA JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH ATUTÓW SERIALU. KAŻDA POSTAĆ ZOSTAŁA OBSADZONA NIEZWYKLE TRAFNIE.

ZDARZA MI SIĘ ŻARTOWAĆ, ŻE TEN SERIAL STARZEJE SIĘ ODWROTNIE NIŻ LUDZIE.

– Jednym z tematów, który zawsze interesuje widzów, są pieniądze. Czy można żyć z jednego kultowego serialu?

– W Polsce nie. W Stanach Zjednoczonych bywa inaczej, ale nasz rynek działa według innych zasad. Oczywiście tantiemy istnieją i są wypłacane przez ZAiKS. Serial jest regularnie emitowany, więc wpływy się pojawiają. Jednak nie są to kwoty pozwalające żyć wyłącznie z jednego dzieła.

– Mimo wszystko serial pracuje na swoich twórców do dziś.

– To prawda. Najciekawsze jest jednak coś innego. Gdyby policzyć wszystkich widzów, którzy przez czterdzieści lat obejrzeli choć jeden odcinek, moglibyśmy mówić o milionach ludzi. To robi większe wrażenie niż same pieniądze.

– Nadal zdarza Ci się oglądać „Alternatywy 4"?

– Raczej fragmentami. Zawsze bardziej interesuje mnie reakcja widzów niż własne wspomnienia. Lubię obserwować, które sceny wciąż działają, które dialogi są cytowane i jak zmienia się odbiór poszczególnych bohaterów.

– Skoro mówimy o bohaterach, byłeś zadowolony z obsady?

– Bez najmniejszych zastrzeżeń. To było prawdziwe crème de la crème polskiego aktorstwa. Co ciekawe, paradoksalnie pomógł nam stan wojenny. Wielu aktorów bojkotowało wówczas telewizję, ale nasz serial został rozpoczęty wcześniej i nie był objęty bojkotem. Dzięki temu Bareja miał dostęp do najlepszych wykonawców.

– Można więc powiedzieć, że historia trochę pomogła produkcji.

– Zdecydowanie. Obsada była jednym z największych atutów serialu. Każda postać została obsadzona niezwykle trafnie. Do dziś trudno wyobrazić sobie innych aktorów w tych rolach.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

– Skąd wzięła się fascynacja Elvisem?

– Przede wszystkim z przekonania, że większość ludzi zna tylko fragment jego historii. Elvis funkcjonuje jako król rock and rolla, tymczasem ogromną rolę w jego życiu odgrywała muzyka gospel. To ona ukształtowała go jako wokalistę.

– Dlatego napisałeś książkę „Elvis. Dlaczego ja, Panie?”.

– Tak. Chciałem pokazać go z innej strony. Nie jako ikonę popkultury, lecz człowieka wychowanego w tradycji religijnej amerykańskiego Południa. Człowieka, który przez całe życie zadawał sobie pytania o sens sławy i własnego talentu.

– Powstał także film dokumentalny.

– Dla niemieckiej telewizji. To była bardzo ciekawa przygoda. Podczas pracy nad filmem spotkałem ludzi, którzy znali Elvisa osobiście. Rozmawiałem między innymi z muzykami gospel współpracującymi z nim przez lata. Takie historie są bezcenne.

– Elvis Presley to dość odległy temat od „Alternatyw 4”.

– Tylko pozornie. Zawsze interesowali mnie ludzie i historie. Nie ograniczałem się do jednego obszaru. Raz fascynowała mnie rzeczywistość PRL, innym razem kultura amerykańska, jeszcze innym sport osób z niepełnosprawnościami.

– Wróćmy jednak do „Alternatyw”. Serial doczekał się kontynuacji.

– Była. I to nawet więcej niż raz. Przez lata pojawiały się różne pomysły. Najgłośniejszym były oczywiście „Dylematy 5”.

– Nie wspominasz tego projektu najlepiej.

– Uważam, że zmarnowano bardzo dobry pomysł. Sam punkt wyjścia był ciekawy. Bohaterowie mieli zostać przeniesieni do nowej rzeczywistości i zmierzyć się z Polską po transformacji ustrojowej. Niestety realizacja nie spełniła oczekiwań.

DZISIAJ WIELE RZECZY MÓWI SIĘ WPROST. CZASAMI BRAKUJE MIEJSCA DLA WYOBRAŹNI ODBIORCY.

– Co poszło nie tak?

– Przede wszystkim zabrakło konsekwencji. Można mieć świetny scenariusz, ale jeśli ktoś nie rozumie jego ducha, efekt będzie rozczarowujący. Tak właśnie się stało.

– A gdyby dziś pojawiła się możliwość stworzenia nowego serialu?

– Co ciekawe, taki projekt już istnieje. Napisałem trzynaście odcinków serialu osadzonego we współczesnej Polsce. Nie jest to bezpośrednia kontynuacja „Alternatyw 4”, ale wykorzystuje podobny mechanizm obserwacji społeczeństwa.

– O czym opowiada?

– O świecie sztucznej inteligencji, algorytmów, mediów społecznościowych i nowych form manipulacji. Akcja również rozgrywa się na osiedlu. Są nowi mieszkańcy, nowe konflikty i nowe technologie, ale podstawowe pytania pozostają takie same jak kiedyś: kto sprawuje władzę, kto nią zarządza i w jaki sposób wpływa na innych.

– Brzmi bardzo aktualnie.

– Bo rzeczywistość jest dziś równie interesująca jak w czasach PRL. Zmieniły się dekoracje, ale natura człowieka pozostała podobna. Nadal mamy ambicje, słabości, marzenia i lęki. Nadal ktoś próbuje wpływać na innych. Nadal istnieją mechanizmy kontroli i manipulacji. To wszystko daje materiał na opowieść.

– Jak patrzysz na współczesną kulturę?

– Mam wrażenie, że coraz częściej rezygnujemy z subtelności. Dawniej wielką rolę odgrywała aluzja, metafora, inteligentny skrót myślowy. Dzisiaj wiele rzeczy mówi się wprost. Czasami brakuje miejsca dla wyobraźni odbiorcy.

– Dotyczy to także kabaretu i satyry?

– Tak. Dawna satyra wymagała od widza współpracy. Trzeba było samemu dopowiedzieć pewne rzeczy. Obecnie często dominuje dosłowność. Nie twierdzę, że wszystko kiedyś było lepsze, ale z pewnością było inne.

– Na koniec: jak przekonałbyś człowieka do obejrzenia „Alternatyw 4”?

CORAZ CZĘŚCIEJ REZYGNUJEMY Z SUBTELNOŚCI. DAWNIEJ WIELKĄ ROLĘ ODGRYWAŁA ALUZJA, METAFORA, INTELIGENTNY SKRÓT MYŚLOWY.

– Powiedziałbym, że to nie jest tylko serial komediowy. To opowieść o Polsce, o ludziach i o mechanizmach życia społecznego. Można się śmiać z absurdów, ale jednocześnie wiele z nich okazuje się zaskakująco aktualnych. Jeśli ktoś chce zrozumieć nie tylko PRL, lecz także Polaków, powinien obejrzeć ten serial. Czterdzieści lat później nadal potrafi bawić, uczyć i prowokować do myślenia. A to chyba najlepsza rekomendacja.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

MADONNA – CONFESSIONS II
WYD. WARNER RECORDS INC.



Po dwóch dekadach od jednego z najważniejszych momentów swojej kariery Madonna wraca do świata dyskotekowej euforii, ale robi to z zupełnie innej perspektywy. „Confessions II" nie jest prostą kontynuacją klasyka z 2005 roku, lecz dojrzałą refleksją nad sławą, przemijaniem i własną legendą. Współpraca ze Stuartem Price'em przywraca pulsujący, taneczny charakter, jednak pod błyszczącą powierzchnią kryją się zaskakująco osobiste teksty. Artystka nie próbuje ścigać trendów – zamiast tego przypomina, dlaczego sama przez lata je wyznaczała. To album pełen nostalgii, lecz pozbawiony sentymentalizmu. Chwile wzruszenia przeplatają się z klubową energią, a Madonna brzmi pewnie i naturalnie. „Confessions II" pokazuje, że nawet po ponad czterdziestu latach kariery królowa popu potrafi znaleźć nowy sposób na opowiedzenie własnej historii. To jej najmocniejsze wydawnictwo od wielu lat.

DEEP PURPLE – SPLAT!
WYD. EARMUSIC



W czasach, gdy większość legend rocka odcina kupony od przeszłości, Deep Purple wciąż nagrywa albumy z energią godną zespołu walczącego o swoją pozycję. „SPLAT!" jest dowodem, że klasyczny hard rock może brzmieć świeżo bez rezygnacji z własnej tożsamości. Produkcja Boba Ezrina podkreśla cięższe oblicze grupy, a muzycy grają razem, jakby chcieli udowodnić, że chemia między nimi pozostaje nienaruszona. Słychać tu charakterystyczne organy Dona Aireya, gitarowe popisy Simona McBride'a oraz niepowtarzalny głos Iana Gillana. Album nie próbuje rewolucjonizować gatunku, lecz oferuje solidną porcję riffów, melodii i rockowej pewności siebie. Największą zaletą pozostaje autentyczność – Deep Purple nie udają młodszych, tylko wykorzystują doświadczenie jako atut. „SPLAT!" nie zapisze nowego rozdziału w historii rocka, ale przypomina, dlaczego ten zespół od dekad pozostaje punktem odniesienia dla kolejnych pokoleń muzyków.

SIENNA SPIRO – VISITOR
WYD. UMG RECORDINGS, INC.



Debiutancki album Sienny Spiro jest jak pamiętnik zapisany nocą, gdy emocje nie pozwalają zasnąć. „Visitor" zachwyca intymnością i umiejętnością budowania nastroju przy użyciu oszczędnych środków. Młoda brytyjska wokalistka porusza się między alternatywnym popem, soulem i subtelną elektroniką, tworząc muzykę delikatną, ale pozostawiającą trwały ślad. Jej głos jest największym atutem płyty – pełen kruchości, a jednocześnie niezwykle wyrazisty. Utwory rozwijają się powoli, odsłaniając kolejne warstwy emocji i znaczeń. W świecie nastawionym na natychmiastowe efekty „Visitor" wymaga cierpliwości, lecz wynagradza ją wyjątkową atmosferą. To album o relacjach, samotności i poszukiwaniu własnego miejsca, który bardziej działa na wyobraźnię niż na taneczny instynkt. Sienna Spiro udowadnia, że jest artystką, której warto uważnie się przyglądać.

KEN CARSON – XPERIMENT
WYD. OPIUM/INTERSCOPE



Ken Carson od początku kariery budował wizerunek artysty funkcjonującego na granicy rapu przyszłości i cyfrowego chaosu. Na „xperiment" idzie o krok dalej, serwując materiał, który równie często fascynuje, co dezorientuje. Produkcja jest agresywna, pełna przesterów, gwałtownych zmian tempa i elektronicznych detali, które tworzą niemal cyberpunkowy klimat. Carson nie stawia na klasyczne opowiadanie historii – jego utwory są raczej zbiorem emocji, impulsów i obrazów charakterystycznych dla pokolenia wychowanego w świecie mediów społecznościowych. Album momentami sprawia wrażenie przeładowanego pomysłami, ale właśnie w tym tkwi jego siła. To muzyka niepokojąca, hiperaktywna i konsekwentnie wymykająca się schematom. „xperiment" nie będzie płytą dla każdego, jednak dla fanów nowoczesnego trapu stanowi kolejny dowód na to, że Ken Carson należy do najciekawszych postaci młodej sceny rapowej.

eprasa.pl 2dc4a65eb2



Fot. kadr z filmu

Ostatnie życzenie

Sebastian Pytel

Przez amerykańskie kina właśnie przetoczyła się burza stulecia. Nadmuchane wielkimi pieniędzmi i szerokim marketingiem blockbustery jeden po drugim spadały ze szczytów list sprzedaży jak latawce, którym nagle odcięto dopływ wiatru. Sezon wakacyjny, czas wielkich widowisk po brzegi wyładowanych efektami specjalnymi, z obsadą z pierwszych stron gazet, złapał zadyszkę praktycznie na starcie. Oprawcami przepotężnych wytwórni filmowych takich jak Disney czy Amazon MGM zostali dwaj youtuberzy. Jeden ledwie skończył dwadzieścia lat (Kane Parsons) i rozbił bank nakręconym za psie pieniądze horrorem opartym na internetowym viralu, drugi (rocznik 1999) – za ekwiwalent jakichś trzydziestu sekund nowych „Gwiezdnych wojen" – stworzył prawdziwego potwora, film, który od premiery zamiast tracić widzów, ich zyskuje, a licznik wpływów bije kolejne rekordy i niezdobyte wcześniej szczyty dla produkcji z mikrobudżetem.

Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Za tyle hollywoodzkie gwiazdy drugiego garnituru nawet nie wstają z łóżek, spece od efektów specjalnych łapią się za brzuchy ze śmiechu, a Polski Instytut Sztuki Filmowej dopytuje, czy we wniosku o dofinansowanie przypadkiem nie wskazano zaniżonej kwoty. Co ciekawe, z której strony nie patrzeć, „Obsesja" Curry'ego Bakera nie wygląda, jakby była zrobiona za garść orzechów. Zamknięta głównie we wnętrzach nie przytłacza powtarzalnością lokacji, nie męczy oczu statycznymi scenami, daleko jej do wizualnego stuporu niszowych form cierpiących na finansowe ograniczenia. Baker, wraz z autorem zdjęć Taylorem Clemonsem, strukturę obrazu ułożyli podobnie do innego horrorowego hitu ostatnich lat, czyli „Coś za mną chodzi" Davida Roberta Mitchella. Praca nad głębią kadru,

DEBIUT BAKERA MOŻNA NAZWAĆ NIE TYLKO WIWISEKCJĄ TOKSYCZNEGO ZWIĄZKU, LECZ TAKŻE FILMEM O SKOMPLIKOWANEJ MATERII DZISIEJSZYCH RELACJI DAMSKO-MĘSKICH.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

inteligentna gra światłocieniem, aura zawieszona gdzieś w międzyczasie – jednocześnie współczesna i nostalgiczna. W obu filmach zdjęcia odpowiadają za połowę suspensu: sprawiają, że nieustannie wpatrujemy się w ekran, szukając zagrożenia, które przychodzi równie niespiesznie, co bezwzględnie. Wynik tego równania jest jasny: na imponującą ekonomię budżetu składa się iloczyn talentów sprzed i zza kamery, a także chwytliwy i wieloznaczny pomysł wyjściowy.

Bear (Michael Johnston) od jakiegoś czasu podkochuje się w swojej przyjaciółce Nikki (Inde Navarrette), ale nie starcza mu odwagi, by wprost wyznać, co czuje. Gdy za namową kolegi postanawia w końcu się otworzyć, odwiedza lokalny sklepik z marzeniami i w ramach prezentu nabywa tajemnicze pudełko z jednym życzeniem. Instrukcja jest banalna: wystarczy tylko głośno wypowiedzieć najskrytsze pragnienie i złamać gałązkę ze środka. Potem do akcji wkracza magia, ale czarnej proweniencji.

Wzięty z tego samego imaginarium, co tytułowa „Substancja" Coralie Fargeat czy gipsowy odlew dłoni z „Mów do mnie!" braci Danny'ego i Michaela Philippou, nadprzyrodzony rekwizyt, znakomicie sprawdza się zarówno jako fabularny zapalnik, jak i pojemna metafora. Błyskotliwy, pełnometrażowy debiut Bakera można nazwać nie tylko wiwisekcją toksycznego związku, lecz także – w szerszej skali – filmem o skomplikowanej materii dzisiejszych relacji damsko-męskich; podróżą przez gąszcz konwenansów, krainę zakazów i przyzwoleń, rumowe piaski stawiania granic, walki o władzę lub wymuszania uległości. Terytoria, w których obie strony bywają równie zagubione, i nadużycia, których wspólnie doświadczają. Horror dawno przestał być gatunkiem skupionym wyłącznie na straszeniu i wsadzaniu widza w odpowiednik domu strachu z wesołego miasteczka. Współczesny film grozy łączy wątki pozarozumowe z rozbudowaną psychologią, wprowadza warianty sennych koszmarów zapożyczonych z podświadomości, karmi się naszymi lękami, obawami i wadami charakteru. W sprawnych dłoniach zdolnego reżysera to też wyjątkowo plastyczne tworzywo na odwzorowanie tu i teraz: zapis pokoleniowych traum, socjologicznych spostrzeżeń i wewnętrznych dramatów wystawionych na światło dzienne. „Obsesja" nie zarabia tak dużo (już ponad trzysta milionów dolarów) dziełem przypadku, to dzieło, które żywo rezonuje z widownią, szczególnie z generacji Z.

> „OBSESJA" NIE ZARABIA TAK DUŻO (JUŻ PONAD TRZYSTA MILIONÓW DOLARÓW) DZIEŁEM PRZYPADKU, TO DZIEŁO, KTÓRE ŻYWO REZONUJE Z WIDOWNIĄ, SZCZEGÓLNIE Z GENERACJI Z.

Niewątpliwym plusem jest też czytelność przekazu. Baker nie wymyśla koła na nowo, korzysta ze sprawdzonych środków wyrazu: szeptów, krzyków, nienaturalnych, gwałtownych ruchów zniewolonego ciała czy nagłych jump scare'ów. Wysoka jakość artystyczna „Obsesji" to efekt dużego wyczucia filmowej materii oraz inteligentnie napisanego scenariusza. Napięcie między dwojgiem głównych bohaterów (ustawione na kolizyjnym kursie nieśmiałości i pewności siebie) i smutne następstwa fabularnych decyzji mają wyjątkowo ludzkie, emocjonalne podłoże. Piekło jest tu wybrukowane dobrymi chęciami. Łatwo można wskazać zarówno winnego, jak i ofiarę, ale orzeczenie – dla obu stron – będzie wyjątkowo gorzkie. U Bakera bowiem nie ma przebacz – choć „Obsesja" wychodzi z bezpiecznej pozycji cięższej wariacji takiej „Dramy" Kristoffera Borgliego, to jej kluczowe partie spowija mrok, z którego trudno się otrząsnąć. To horror podszyty nie tyle dramą, co dramatem, emocjonalnie zdolny rozłożyć od środka.

Młody debiutant nie brał jeńców i nikomu się nie kłaniał. Zrobił dokładnie taki film, jaki chciał, a publiczność poszła za nim, dostrzegając pomysł, talent i precyzję wykonania. Po burzy, która przeszła przez krajobraz amerykańskich kin, prawdopodobnie wyłoni się nowy porządek: bite od sztancy, bezmyślne i bezduszne superprodukcje zostaną odrzucone, pierwszeństwo w kolejce do kas będą miały oryginalne, kreatywne teksty realizowane przez zapaleńców, którzy kino filtrowali przez nowe media i nigdy nie przedłożą wrodzonej odwagi nad kalkulator i tabelki w Excelu. Wielkie studia przejdą przemianę, zaczną inwestować w proces twórczy kosztem coraz bardziej sztucznej grafiki komputerowej (CGI). Znikną dziesiąte części tych samych franczyz, w ich miejsce wejdą nowe, oryginalne historie. Wiem, że to nie tylko moje życzenie.

„Obsesja" (Obsession), reżyseria: Curry Baker, scenariusz: Curry Baker, obsada: Michael Johnston, Inde Navarrette, Cooper Tomlinson, Megan Lawless, gatunek: horror, produkcja: USA 2025, czas: 108 minut.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

ODBIJANIE Bożego światła

– Już 60 lat temu Karl Rahner stwierdził, że chrześcijanin przyszłości będzie mistykiem albo w ogóle go nie będzie. Świadomość osobistego powołania do świętości jest dziś bardziej potrzebna niż w minionych wiekach – mówi ks. prof. **Dariusz Kowalczyk** w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.



Fot. arch.

– „Bez Boga nie ma zbawienia” to tytuł najnowszej książki Księdza Profesora. Wydawać by się mogło, że do niedawna prawda o tym, że bez Boga nie ma zbawienia, była tak oczywista, że niejako się na nią „znieczuliliśmy”. Czy wybór takiego tytułu książki zdradza, że żyjemy w czasach, kiedy trzeba na nowo uwrażliwiać ludzi, także wierzących, na znaczenie podstawowych prawd wiary? Taki jest właśnie cel wydania tej publikacji?

– Prawdę mówiąc, tytuł pochodzi od redakcji Białego Kruka, która w tej sprawie zrobiła sondaż wśród czytelników. Ale mnie się podoba.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Uważam, że to celny tytuł, choć w książce mowa jest o wielu innych sprawach. Tak! Dzisiaj, w czasach zamętu w świecie i w Kościele (inna sprawa: kiedy zamętu nie było?) trzeba przypominać sprawy fundamentalne. Bo z jednej strony mnożą się neomarksistowskie ideologie, które obiecują jakieś zbawienie, a nawet nieśmiertelność, a z drugiej w Kościele są środowiska, które niewiele mówią o zbawieniu w Jezusie Chrystusie, ale za to próbują nadążyć za lewicowo-liberalnymi ideologiami typu gender-LGBT, różne „zielone łady” czy też religia „świętego emigranta”. Oczywiście Kościół od wieków wypowiada się na różne tematy. Wszak chrześcijaństwo jest religią Wcielenia, a zatem dotyczy tego, co stworzone, co doczesne. Do nieba idzie się poprzez świat. Niemniej jednak najważniejsza rzecz, jaką Kościół ma do powiedzenia, to prawda o Bogu, który najpełniej objawił się w Jezusie Chrystusie i który powołuje każdego człowieka do zbawienia, czyli do życia wiecznego mocą Jego łaski. Zbawienie jest tylko w Bogu. Opowieści o samozbawieniu, które miałoby stać się udziałem człowieka dzięki m.in. genetyce i sztucznej inteligencji, to nie tylko mrzonki, ale diabelskie kuszenie, którego celem jest zniszczenie człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga.

ŚWIADOMOŚĆ OSOBISTEGO POWOŁANIA DO ŚWIĘTOŚCI JEST DZIŚ BARDZIEJ POTRZEBNA NIŻ W MINIONYCH WIEKACH.

– Jak się obronić przed pokusą „samozbawienia” i w którym miejscu należy postawić granicę pomiędzy „korzystaniem ze zdobyczy medycyny, technologii, informatyki etc.” a pozwalaniem sztucznej inteligencji na zabieranie przestrzeni należnej jedynie człowiekowi? W jaki sposób katolik powinien np. umiejętnie korzystać z CzataGPT czy innych tego typu narzędzi? A może powinien trzymać się od tego z daleka?

– Nowe technologie są wymyślone przez człowieka po to, by służyły człowiekowi. I służą, choć jednocześnie – jeśli są źle używane – mogą obrócić się przeciw człowiekowi. To nic nowego. Generalnie jest tak, że rzeczy, wytwory natury lub człowieka, mogą człowiekowi służyć, pomagać, ale mogą też szkodzić. Wystarczy pomyśleć o energii atomowej. Może być użyta do destrukcji albo do zasilania miast i naszych domów. Albo coś takiego jak wino. Już w starotestamentalnej „Mądrości Syracha” czytamy: „Jakież ma życie ten, który jest pozbawiony wina. [...] Zadowolenie serca i radość duszy daje wino pite w swoim czasie i z umiarkowaniem”. Właśnie! Trzeba znać czas, miejsce i miarę. Osobiście korzystam ze sztucznej inteligencji. Uważam, że to bardzo pomocne narzędzie. Zachęcam moich studentów do korzystania z AI. Ale jest oczywiste, że używanie AI w pracy akademickiej, naukowej wymaga uczciwości, kompetencji, znajomości rzeczy. Nowe technologie wymagają namysłu etycznego, rozsądku i mądrości. Wymagają także norm, regulacji na różnych poziomach. Kościół ma w tej kwestii ważne rzeczy do powiedzenia, czego przykładem jest encyklika Leona XIV „Magnifica humanitas”. Nie ma tu miejsca na głębsze analizy, ale trzeba podkreślić, że błędem byłoby demonizowanie nowych technologii, trzymanie się od nich z daleka, ale błędem byłoby także naiwne zachwycania się technicznymi nowinkami bez widzenia związanych z nimi niebezpieczeństw.

– Polscy nauczyciele, a później pracodawcy wskazują, że młodzi ludzie są świetnie obeznani z nowymi technologiami, ale gdyby im przyszło choćby samodzielnie napisać list motywacyjny czy urzędowe podanie, będą mieli z tym problem. W książce „Bez Boga nie ma zbawienia” mówi Ksiądz o pokoleniu „bamboccionów”, czyli ludzi, którzy nie chcą dorosnąć. Jak pogodzić dojrzałość chrześcijańską z zachowaniem

BAMBOCCIONI, CZYLI „DOROSŁE DZIECI”, MAJĄ TZW. NARZECZONE, ALE W GRUNCIE RZECZY CHODZI O PARTNERKI DO SEKSU, A NIE O BUDOWANIE TRWAŁYCH RELACJI.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

dziecięcej prostoty serca, o której mówi Ewangelia? I jak nie mylić tych dwóch pojęć?

– Problemy z napisaniem pisma urzędowego nie muszą świadczyć o niedojrzałości. Mogą na przykład świadczyć raczej o rozrośniętej biurokracji. Ale problem niedojrzałości, który nie jest problemem jedynie nielicznych jednostek, ale jest problemem społecznym, jak najbardziej istnieje. W języku włoskim istnieje przytoczone przez panią pojęcie „bamboccioni”, co można by przetłumaczyć „dorosłe dzieciaki”. To 30-, 40-latkowie, którzy nie są gotowi i nie chcą być gotowi do m.in. założenia rodziny, posiadania dzieci. „Bamboccioni” mają tzw. narzeczone, ale w gruncie rzeczy chodzi o partnerki do seksu, do spędzenia weekendu, do wspólnych wakacji, a nie o budowanie trwałych relacji. Ponadto pomimo chęci zrobienia korporacyjnej kariery pozostają w jakiejś mierze zależni od pieniędzy rodziców. Z czego taka postawa wynika? Z wygodnictwa, z lenistwa? Z postawy konsumpcyjnej? Pewnie tak. Ale jest w tym coś bardziej niepokojącego, a mianowicie lęk przed budowaniem trwałych relacji. Zwraca Pani uwagę, że Ewangelia zaprasza nas do „dziecięcej prostoty serca”, do „bycia jak dzieci”. O co w tym chodzi? Oczywiście nie o trwanie w jakimś infantylizmie. Jaką cechę mają dzieci, która jest dobra także dla dorosłych? Otóż dzieci wiedzą dobrze, że nie są samowystarczalne. Potrafią prosić i z wdzięcznością przyjmować. I taka powinna być nasza postawa wobec Boga, bez którego łaski nic nie możemy uczynić. Przypomina mi się tutaj powiedzenie: „Działaj tak, jakby wszystko zależało od ciebie, a oczekuj na wyniki, jakby wszystko zależało tylko od Boga”. Właśnie tak! Trzeba łączyć „dorosłe” branie odpowiedzialności za sprawy z dziecięcą ufnością.

– Wydaje się, że umiejętność życia zgodnie z ewangeliczną zasadą bycia „nieskazitelnymi jak gołębie, ale przebiegłymi jak węże” posiadło wielu polskich świętych – jak choćby św. Maksymilian, który umiał łączyć całkowite zawierzenie Bogu i Matce Bożej z trzeźwym pragmatyzmem działania. W książce porusza Ksiądz temat świętości. Jak być świętym w XXI wieku?

– Nie sądzę, aby można było opisać jakąś szczególną formę świętości dla XXI wieku. Świętość mieni się wieloma barwami i odcieniami w każdym pokoleniu. Polega ona generalnie na ukazywaniu świętości Boga, bo tylko Bóg jest święty sam z siebie. A to ukazywanie, czyli – powiedzmy – odbijanie Bożego światła, przyjmuje różne formy. Tak jak dawniej, tak i dziś mamy osoby, które wyróżniają się tyleż zdecydowanym, co inteligentnym wyznawaniem wiary i nauczaniem jej innych, albo też poświęcają się w służbie ubogim i potrzebującym. Nie brakuje też współczesnych męczenników. Zwróciłbym jednak uwagę na jedną rzecz. Dawniej wiara katolicka w wielu społecznościach była rzeczywistością społeczną. Większość deklarowała się jako katolicy. Dziś to się zmieniło. Już 60 lat temu Karl Rahner stwierdził, że chrześcijanin przyszłości będzie mistykiem albo w ogóle go nie będzie. Nie chodziło mu oczywiście o chodzenie z głową w chmurach, ale o doświadczenie bliskości Boga, nawet jeśli inni wokół, w domu, w pracy, są niewierzący. Innymi słowy, dziś wielu katolików nie może czuć się niejako niesionych przez wiarę rodziny czy też kolegów w pracy. Wręcz przeciwnie! Dlatego też, by trwać w wierze, trzeba mieć głębokie, osobiste doświadczenia Jezusa Chrystusa. A takie doświadczenie to podstawowy element właśnie świętości. Można by zatem powiedzieć, że świadomość osobistego powołania do świętości jest dziś bardziej potrzebna niż w minionych wiekach.

JUŻ 60 LAT TEMU KARL RAHNER STWIERDZIŁ, ŻE CHRZEŚCIJANIN PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE MISTYKIEM ALBO W OGÓLE GO NIE BĘDZIE.



„Bez Boga nie ma zbawienia”, z ks. prof. Dariuszem Kowalczykiem rozmawia dr Adam Sosnowski, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2026.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Ancona, Pilecki i „droga Konrada”

18 lipca 1944 r. oddziały 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa wyzwoliły portowe miasto Ankona nad Morzem Adriatyckim. Był to kolejny duży sukces bojowy po zdobyciu dwa miesiące wcześniej Monte Cassino.

Włoska Ancona przez następne miesiące będzie jednym z najważniejszych ośrodków polskiego wywiadu. We wrześniu 1945 r. dotrze tu uwolniony z niemieckiego oflagu Murnau rtm. Witold Pilecki i uda mu się przekonać gen. Andersa, że musi wrócić do okupowanej teraz przez sowietów Polski.

Ta kolejna niebezpieczna i – jak się ostatecznie okaże – śmiertelna misja wywiadowcza rotmistrza będzie koordynowana przez nową strukturę polskiego wywiadu (dawnej „Dwójki”), utworzoną pod koniec 1945 r. pod nazwą Biuro Planowania.

Polski wywiad nie mógłby jednak skutecznie działać, gdyby nie Ośrodek Wywiadowczy tzw. Ekspozytury „EN”, zorganizowany w lipcu 1945 r. przez dowódców Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych w niemieckim Regensburgu (Ratyzbonie). To z pomocą narodowców pod koniec 1945 r. Pilecki wrócił do kraju „drogą Konrada” (od pseudonimu twórcy – por. NSZ Jerzego Kozarzewskiego). Ten kluczowy w 1945 r. szlak kurierski łączył okupowaną Polskę – wiodąc przez Cieszyn, Pragę i Pilzno – z polskim wywiadem w Anconie.

W styczniu 1946 r. „drogą Konrada” ruszył z Warszawy do Ancony kurier Pileckiego – Tadeusz Płużański (mój ojciec). Nie wiedział jednak, że konspiracyjny szlak jest już rozpracowany przez komunistów. Dlatego Płużański po przejściu na wysokości Ustronia granicy z Czechosłowacją i dotarciu pociągiem do Pilzna, został zatrzymany przez czeską bezpiekę. Szczęśliwie z obozu przejściowego nad Wełtawą udało mu się uciec i przez Regensburg dotarł już bez przeszkód do Ancony. Podczas aresztowania musiał jednak zniszczyć wszystkie dokumenty, przez co raport od Pileckiego o sowieckim terrorze w Polsce przekazywał przełożonym ustnie.

Po ewakuacji 2. Korpusu z Włoch centralę Biura Planowania ulokowano najpierw w Brukseli pod przykrywką firmy transportowej „Le Gazol”, a później w Londynie. Prócz klasycznej pracy wywiadowczej, przy współpracy z brytyjskimi i amerykańskimi służbami specjalnymi, przerzucano uciekinierów z Polski na Zachód, oraz wyłapywano szpiegów wśród polskiej emigracji. Biuro Planowania posiadało komórki wywiadowcze w całej Europie, m.in. we Włoszech, Francji, Belgii i Holandii. Placówki w Austrii (Wiedeń, Innsbruck, Salzburg i Graz), w Czechosłowacji (Praga) i na Węgrzech (Budapeszt) odpowiadały także za łączność z krajem.

Nowe szlaki kurierskie polskiego wywiadu, niezależne od rozpracowanej „drogi Konrada”, tworzyła jedna z najważniejszych emisariuszek 2. Korpusu – Jadwiga Mierzejewska, która wróciła z Ancony do Polski razem z Tadeuszem Płużańskim w połowie 1946 r. „Danuta” stworzyła własną strukturę wywiadowczą (kryptonim „Szpital”), nadzorującą Pileckiego i innych wywiadowców Biura Planowania działających w Polsce. „Danuta” opuściła Polskę z pomocą kuriera 2. Korpusu Tadeusza Cieśli w czerwcu 1947 r. – miesiąc po aresztowaniu przez UB Witolda Pileckiego i jego współpracowników. Wobec bestialskich tortur na Rakowieckiej ci ostatni nikogo nie wydali...

eprasa.pl 2dc4a65eb2

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

BARBARA MICHAŁOWSKA

ZWOLNIENIA GRUPOWE w Metalurgii w Radomsku



Fot. Adobe Stock

Międzyzakładowa Komisja NSZZ „Solidarność” w Metalurgii S.A. otrzymała zawiadomienie o zamiarze przeprowadzenia zwolnień grupowych i likwidacji pracodawcy. Pracę ma stracić 100 osób, a cieszący się prawie 150-letnią historią zakład, symbol lokalnego przemysłu, ma zostać zlikwidowany.

Zarząd spółki Metalurgia S.A. tłumaczy swoją decyzję „utrzymującym się od wielu lat negatywnym trendem makroekonomicznym w sektorze hutniczym i stalowym, obejmującym w szczególności spadek rentowności produkcji, wysoką zmienność cen surowców i energii, presję konkurencyjną ze strony producentów spoza Unii Europejskiej oraz ograniczenie popytu w kluczowych segmentach rynku”.

– W tym roku generowaliśmy same zyski i przyjęliśmy z dużym zaskoczeniem decyzję o likwidacji firmy. Nie wiem, skąd wynikają aż tak duże straty, o których pisze pracodawca – zaznacza w rozmowie z portalem Tysol.pl Andrzej Idzikowski, przewodniczący Międzyzakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność” przy Metalurgii S.A.

Podkreśla, że likwidacja zakładu to ogromny cios dla całego regionu, a przede wszystkim dla pracowników.

PRACOWNICY SAXDOR SHIPYARD DOŁĄCZYLI DO SOLIDARNOŚCI

Pracownicy Saxdor Shipyard założyli Organizację Zakładową NSZZ „Solidarność”. Dołączyli tym samym do największego związku zawodowego w Polsce.

– Organizacja chce skupić się na Zakładowym Funduszu Świadczeń Socjalnych i systemie premiowania w zakładzie pracy, a także uregulowania pracy w nadgodzinach – mówi nam Krzysztof Krzyżaniak, zastępca przewodniczącego Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ „Solidarność”.

Właścicielem Saxdor obecnie jest amerykańskie Malibu Boats, które w marcu bieżącego roku przejęło fińskiego producenta jachtów. Jedyna fabryka w Polsce jest umiejscowiona w Ełku i zatrudnia około 800 pracowników.

CHCĄ ZMIENIĆ NAZWĘ PARKU SOLIDARNOŚCI W TOMASZOWIE MAZOWIECKIM



Fot. Region Piotrkowski NSZZ „Solidarność”

Z inicjatywą zmiany nazwy Parku Miejskiego w Tomaszowie Mazowieckim wystąpił jeden z jego mieszkańców. Jak napisał w swoich mediach społecznościowych, „chcę

eprasa.pl 2dc4a65eb2


Fot. M. Zegliński

„Czy Ministerstwo Zdrowia jest słabe wobec silnych, a silne wobec słabych?”.

Maria Ochman,
przewodnicząca Rady Krajowego Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „Solidarność”,
konferencja prasowa przed MZ, Warszawa, 8 lipca br.

zainicjować obywatelski projekt uchwały Rady Miasta, by zmienić nazwę Parku Solidarność na Park im. hrabiego Antoniego Ostrowskiego – założyciela Tomaszowa”.

Problem w tym, że Park ma już swoją nazwę. Od lat jest to Park Miejski Solidarność.

Cała inicjatywa i jej okoliczności spotkały się ze stanowczym sprzeciwem Solidarności. Przedstawiciele Zarządu Regionu Piotrkowskiego NSZZ „Solidarność” wystosowali apel do Komisji Zakładowych o podjęcie wspólnych działań w obronie nazwy Parku.

– Park Solidarności nie jest nazwą przypadkową. Jest symbolem ludzi, którzy mieli odwagę powiedzieć „nie” systemowi opartemu na strachu. Ludzi, którzy tracili pracę, byli internowani, więzieni, szykanowani i prześladowani tylko dlatego, że domagali się wolności, godności i prawa do niezależnych związków zawodowych. [...] Solidarność nie jest własnością żadnej partii ani żadnego środowiska politycznego. Jest dobrem narodowym. Dlatego wszelkie działania dotyczące miejsc noszących jej imię powinny być prowadzone z najwyższą odpowiedzialnością, rozwagą i szacunkiem – przekonuje Roman Stawicki, przewodniczący Zarządu Regionu Piotrkowskiego NSZZ „Solidarność”.

„WARSZAWSKI ŚLAD SOLIDARNOŚCI”. ZA NAMI III RAJD ROWEROWY REGIONU MAZOWSZE


Fot. Region Mazowsze NSZZ „S”

4 lipca odbył się III Rajd Rowerowy Regionu Mazowsze „Warszawski Ślad Solidarności” – wyjątkowe wydarzenie łączące aktywność sportową z żywą lekcją historii i pamięci o ludziach, którzy swoją odwagą i poświęceniem współtworzyli drogę Polski do wolności. „Tygodnik Solidarność” objął patronat medialny nad tym wydarzeniem.

Rajd rozpoczął się tradycyjnie w Ursusie, przy Pomniku Robotników Czerwca ’76. Uczestników serdecznie powitał Andrzej Kierzkowski, przewodniczący Organizacji Międzyzakładowej nr 1 w Ursusie. Minutą ciszy uczczono wszystkich, którzy oddali życie w walce o wolną i suwerenną Polskę.

Z Ursusa uczestnicy ruszyli w stronę Cmentarza Wojskowego na Powązkach, przejeżdżając przez Park Szymańskiego na Woli i dalej w kierunku Żoliborza.

Kolejnym ważnym punktem rajdu była Huta Warszawa. Uczestnicy wjechali na jej teren przez historyczną bramę – tę samą, przez którą w czasie strajków wszedł bł. ks. Jerzy Popiełuszko, aby odprawić Mszę Świętą dla protestujących hutników. Przy krzyżu upamiętniającym postać kapelana Solidarności zatrzymano się na krótką modlitwę i chwilę refleksji.

Następnie uczestnicy rajdu udali się na ul. Promyka 3, gdzie mogli zobaczyć oryginalny znak „Solidarności Walczącej” z lat 80. – cenny ślad działalności podziemnej opozycji.

Po krótkim postoju uczestnicy rajdu ruszyli w kierunku kościoła św. Stanisława Kostki. Tam pomodlili się przy grobie bł. ks. Jerzego Popiełuszki i spotkali z duszpasterzem ludzi pracy – ks. Michałem Kotowskim. Metą rajdu była siedziba Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”.

B.M.

Kalendarium Solidarności

16.07.1980 – rozpoczyna się strajk lubelskich kolejarzy – Lubelski Lipiec;

22.07.1983 – zostaje zniesiony stan wojenny.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Państwo powinno zacząć od siebie,

czyli jak resort kultury jest daleko od (kultury) dialogu społecznego

Od dwóch lat mamy dyrektywę unijną zalecającą państwom członkowskim promowanie układów zbiorowych pracy jako istotnej części europejskiego modelu społecznego. A na polskim podwórku rządzący wciąż jakby tego nie zauważyli.

Maciej Mechliński, Krajowa Sekcja Muzeów i Instytucji Ochrony Zabytków NSZZ „Solidarność”

W ODPOWIEDZI NA POSTULAT NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” dotyczący stworzenia ponadzakładowego układu zbiorowego pracy dla muzeów państwowych wiceminister kultury Maciej Wróbel poprosił o zrozumienie, że stanowisko jego resortu jest sceptyczne, co oznacza, że żadne działania w tym względzie nie będą podejmowane. Można nawet uznać, że minister z pewną niechęcią odniósł się do samej idei negocjacji zbiorowych, wskazując, że pracownicy muzeów nie powinni narzekać na wynagrodzenia. To pokazuje jak w soczewce niechęć organów państwa do rozwoju autonomicznych źródeł prawa pracy, a więc pozostałość złogów systemu komunistyczne-



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 2dc4a65eb2

go u rządzących polityków niezależnie od ich obecnej proweniencji.

Przez długie lata o układach zbiorowych pracy mówiło się w Polsce tak, jakby były instytucją z innej epoki. W debacie publicznej wracały wielkie słowa o dialogu społecznym, odpowiedzialności partnerów społecznych i potrzebie budowania zaufania, ale tam, gdzie trzeba było usiąść do stołu i rozpocząć realne negocjacje, entuzjazm zwykle szybko gasł. Polska przez dekady pozostawała krajem o jednym z najniższych poziomów objęcia pracowników układami zbiorowymi w Unii Europejskiej. Ten fakt nie jest już ani tajemnicą, ani diagnozą środowisk związkowych. Jest problemem państwa.

Od kilku miesięcy sytuacja wygląda nieco inaczej. Mamy nową ustawę o układach zbiorowych pracy i porozumieniach zbiorowych. Mamy także Plan Działania na Rzecz Wspierania Rokowań Zbiorowych podpisany w grudniu 2025 r. przez minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Mamy wreszcie jasne zobowiązanie wynikające z prawa Unii Europejskiej: państwo, w którym zasięg rokowań zbiorowych jest dramatycznie niski, ma tworzyć warunki sprzyjające ich rozwojowi. Dyrektywa o adekwatnych wynagrodzeniach minimalnych przetrwała zasadniczy atak Danii i Szwecji przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Spór o granice kompetencji Unii nie zmienił jednego: wspieranie rokowań zbiorowych jest dziś częścią europejskiego standardu społecznego.

To samo wynika z dorobku Międzynarodowej Organizacji Pracy. Wolność związkowa i rokowania zbiorowe nie są dekoracją systemu prawa pracy. Są jednym z jego fundamentów. Państwo ma nie tylko nie przeszkadzać partnerom społecznym, lecz także tworzyć warunki, w których rokowania mogą być realnie prowadzone. Nie wystarczy więc uchwalić ustawę, przyjąć plan, zorganizować konferencję i przygotować materiały promocyjne. Jeśli metoda układowa ma wrócić do polskiego świata pracy, administracja publiczna musi pokazać, że sama traktuje ją poważnie.

> Polska **przez dekady** pozostawała krajem o jednym z najniższych poziomów objęcia pracowników układami zbiorowymi w Unii Europejskiej.

Najprostsza zasada brzmi: władza publiczna powinna zacząć od siebie. Szczególnie wtedy, gdy występuje nie jako abstrakcyjny regulator, ale jako organizator pracy, dysponent środków publicznych i faktyczny podmiot decydujący o warunkach zatrudnienia w podległych instytucjach. Dotyczy to przede wszystkim sfery publicznej. O spółkach Skarbu Państwa można oczywiście dyskutować osobno, ale to instytucje publiczne są naturalnym miejscem, w którym państwo powinno dać przykład. Nie można wiarygodnie zachęcać pracodawców prywatnych do rokowań zbiorowych, jeśli tam, gdzie decyzja zależy od ministra, dyrektora instytucji publicznej albo organu prowadzącego, odpowiedzią na inicjatywę związkową jest milczenie.

> Wolność związkowa i rokowania zbiorowe **nie są dekoracją** systemu prawa pracy. Są jednym z jego fundamentów.

Dlatego sprawa ponadzakładowego układu zbiorowego pracy dla muzeów ma znaczenie większe niż tylko sektorowe. Krajowa Sekcja Muzeów i Instytucji Ochrony Zabytków NSZZ „Solidarność” wystąpiła z propozycją rozpoczęcia prac nad układem dla muzeów państwowych. Nie chodzi o gest symboliczny. Chodzi o sprawdzenie, czy państwo naprawdę rozumie własne zobowiązania dotyczące wspierania rokowań zbiorowych.

Muzea są częścią sfery publicznej. Pracują w nich osoby wysoko wykwalifikowane, odpowiedzialne za ochronę dziedzictwa, edukację, badania, konserwację, obsługę zwiedzających, bezpieczeństwo zbiorów i codzienne funkcjonowanie instytucji kultury. To nie jest praca, którą można mierzyć wyłącznie liczbą sprzedanych biletów albo frekwencją na wystawie czasowej. Muzeum jest instytucją długiego trwania, a wiedza potrzebna do jego funkcjonowania powstaje przez lata.

Raporty płacowe przygotowane przez muzealną Solidarność obejmujące 84 instytucje państwowe i 108 samorządowych pokazały problemy, których nie da się sprowadzić do pojedynczych konfliktów w pojedynczych jednostkach. Widać ogromne różnice finansowe między muzeami i spłaszczenie wynagrodzeń pomiędzy grupami stanowisk, co skutkuje starzeniem się kadr,

eprasa.pl 2dc4a65eb2

trudnościami z przyciąganiem młodych pracowników i rosnącym obciążeniem pracą. Osoby wykonujące podobne zadania mogą otrzymywać bardzo różne wynagrodzenia tylko dlatego, że pracują w innym muzeum. Pracownicy z wysokimi kwalifikacjami i wieloletnim doświadczeniem nierzadko widzą, że ich kompetencje nie przekładają się na realną ścieżkę awansu i wzrostu płac. To nie jest wyłącznie problem finansowy. To problem stabilności całego sektora.

Pracownicy muzeów chcą ponadzakładowego układu zbiorowego pracy nie dlatego, że oczekują przywileju. Chcą go dlatego, że obecny model nie zapewnia stabilnych, przewidywalnych i sprawiedliwych warunków pracy w sektorze, który państwo samo uznaje za ważny dla interesu publicznego. Układ ponadzakładowy mógłby uporządkować podstawowe kwestie: zasady wynagradzania, dodatki, ścieżki awansu, standardy czasu pracy, kwalifikacje, odpowiedzialność za zbiory, warunki pracy w instytucjach o różnej wielkości i różnym profilu. Nie chodzi o pełną unifikację wszystkich muzeów. Chodzi o minimalne standardy, które zostawią miejsce na lokalne rozwiązania, ale ograniczą przypadkowość i uznaniowość.

To ważne także z innego powodu. Układ zbiorowy nie jest wyłącznie dokumentem płacowym. Jest narzędziem instytucjonalnej rozmowy. Pozwala nazwać problemy, ustalić procedury, rozłożyć odpowiedzialność i uniknąć sytuacji, w której każda instytucja radzi sobie sama, a każdy konflikt zaczyna się od początku. W sektorze muzeów taki układ mógłby być instrumentem modernizacji zarządzania, a nie przeszkodą w zarządzaniu.

Muzeum jest instytucją **długiego trwania**, a wiedza potrzebna do jego funkcjonowania powstaje przez lata.

Mógłby pomóc zarówno pracownikom, jak i dyrektorom instytucji, którzy również funkcjonują w warunkach ograniczonych budżetów i niejasnych oczekiwań.

Tymczasem odpowiedź administracji pokazuje, jak daleko jesteśmy od rzeczywistego przyswojenia metody układowej. Gdy pojawia się propozycja rozmowy, słyszymy o kosztach, limitach wydatkowych, autonomii instytucji i zróżnicowaniu sektora. To wszystko są realne uwarunkowania. Ale właśnie po to prowadzi się rokowania zbiorowe, aby w ramach istniejących uwarunkowań szukać rozwiązań, a nie uznawać je za powód, by rozmowy w ogóle się nie rozpoczęły. Jeżeli każda różnica między instytucjami ma być argumentem przeciwko układowi, to metoda układowa nigdy nie wyjdzie poza deklaracje.

Trudno pogodzić taką postawę z planem działań przyjętym przez rząd. Trudno pogodzić ją z deklaracjami o wzmacnianiu rokowań zbiorowych. Trudno wreszcie pogodzić ją z elementarną logiką administracji publicznej: jeśli państwo chce promować układy zbiorowe, to nie powinno zaczynać od szkolenia innych, lecz od sprawdzenia, czy jego własne ministerstwa wiedzą, co ta metoda oznacza.

Może więc administracja powinna najpierw przeszkolić samą siebie. Nie z komunikacji społecznej, nie z wizerunku dialogu i nie z kolejnych procedur konsultacyjnych, ale z rzeczywistego znaczenia rokowań zbiorowych. Z tego, że odpowiedź na inicjatywę związkową nie jest uprzejmością, lecz elementem odpowiedzialności instytucjonalnej. Z tego, że układ zbiorowy nie jest zagrożeniem dla państwa, ale jednym z narzędzi porządkowania spraw, których państwo od lat nie potrafi uporządkować jednostronnie.

Jeżeli Plan Działania na rzecz Wspierania Rokowań Zbiorowych ma być czymś więcej niż dokumentem odłożonym do segregatora, potrzebne są konkretne decyzje. Jedną z nich może być rozpoczęcie rokowań nad ponadzakładowym układem zbiorowym pracy dla muzeów. To byłby jasny sygnał, że państwo traktuje własne zobowiązania poważnie. Że nie oczekuje dialogu tylko od innych. I że rozumie, iż w sferze publicznej godna praca nie może zależeć wyłącznie od dobrej woli kolejnego dyrektora, kolejnego budżetu i kolejnej obietnicy poprawy.

Ogromne różnice finansowe między muzeami i spłaszczenie wynagrodzeń pomiędzy grupami stanowisk skutkuje starzeniem się kadr.

Na razie pracownicy muzeów słyszą ciszę. A cisza nie jest metodą układową.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Cezary Krysztopa

Czuję się zaskoczony

Zawsze wyglądałem na młodszego, niż byłem w rzeczywistości. W młodości bardzo mnie to irytowało. Miałem problemy z wejściem do kina na filmy, na które od dawna chodzili moi koledzy. Miałem również kłopoty z kupowaniem alkoholu. Musiałem czasem pokazywać dowód osobisty jeszcze jako dwudziestoparolatek.

Przestało mi to przeszkadzać, kiedy zorientowałem się, że podoba się to moim koleżankom. Perfidnie i z premedytacją wzbudzanie „instynktu macierzyńskiego" wykorzystywałem jako strategię podrywu. Tak, to było podłe z mojej strony, ale – wybaczcie – nie żałuję. Pomagało mi to w łowach zarówno w rewirach kobiet ode mnie starszych, jak i tych, które były ode mnie sporo młodsze.

Jeszcze mniej mi to przeszkadzało już jako panu w średnim wieku, kiedy okazało się, że wolno mi więcej niż moim rówieśnikom. Na przykład mogłem sobie trenować z ludźmi dziesięć, dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat młodszymi. Jak sobie radziłem, tak radziłem, czasem lepiej, a czasem gorzej, ale byłem bardzo zadowolony, że byłem w stanie dotrzymać im kroku. A tym bardziej kiedy czasem przyznałem się do swojego wieku i widziałem niedowierzanie w ich oczach.

No, ale wszystko się kiedyś kończy. Wiem, że sporo siedzi w mojej głowie, ale mam wrażenie, że teraz przechodzę przyspieszony „kurs starości". Tak jakby czas, który oszukiwałem tyle lat, nagle zaczął mnie doganiać. Pal sześć pogłębiającą się łysinę, siwiznę czy inne wizualne efekty. To drobiazg. Najbardziej usadziła mnie kontuzja, operacja i ich konsekwencje. Bycie kuternogą ma wiele wad, ale bodaj największą jest konieczność rezygnacji z różnego rodzaju aktywności. Nagle człowiek zostaje z ogromną energią, z którą nie ma co zrobić.

No i muszę Wam powiedzieć, że jakby to głupio nie zabrzmiało, czuję się bardzo zaskoczony. No bo niby wiem, że taka jest kolej rzeczy, ale do tej pory dotykało to tylko innych. Jako człowiek umiarkowanie rozsądny wiem oczywiście, że również ja podlegam upływowi czasu, ale – choć trudno to racjonalnie wytłumaczyć – odkryłem w sobie przekonanie, że to co do zasady teoria, która mnie w praktyce szczególnie nie dotyka. Wprawdzie znany jest mi efekt zaskoczenia, kiedy człowiek przypadkiem zobaczy się w witrynie sklepowej i przez chwilę zastanowi: „Co to za stary dziad?", zanim do niego dotrze, że to on sam, no, ale dajcie spokój, bez przesady.

I nie wymądrzajcie mi się tutaj, że „takie jest życie" czy, że „starzenie się jest naturalnym procesem", ja te wszystkie wyświechtane formułki znam. Miałem dziadków, pamiętam pradziadka, który wiecznie oskarżał moją babcię o to, że schowała mu kalesony. Byłem świadkiem wielu starości. A nawet śmierci. Wiem wszystko, co i Wy wiecie, ale sam nigdy dotąd się nie starzałem.

Jednocześnie jestem dziwnie przekonany, że jesteście w tym zakresie tak samo nieprzygotowani jak i ja.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Zaczęły się wakacje, wracamy więc w Pana ukochane góry.

Tomek: – No, prawie, bo to widok na Tatry, ale z dość daleka.

– Pańskie zdjęcia z samych Tatr na pewno już tutaj publikowaliśmy. Teraz przenosimy się razem z Panem o kilkadziesiąt kilometrów dalej, do miejscowości Krośnica.

– Tak. To niedaleko Czorsztyna. Właśnie tam udało mi się uchwycić widok na Tatry. Ale aby były one widoczne, musiały panować odpowiednie warunki atmosferyczne. Wówczas gdy robiłem to zdjęcie w 2004 roku, była ładna pogoda, a powietrze było przejrzyste. To dało efekt w postaci tak monumentalnego widoku.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 2dc4a65eb2

PRAWO

ZMIENILIŚMY ZDANIE!

Czy można wycofać wypowiedzenie najmu?

Wynajmuję mieszkanie. Kilka tygodni temu złożyłem właścicielowi wypowiedzenie umowy najmu, ponieważ planowałem przeprowadzkę do innego miasta. Ostatecznie sytuacja się zmieniła i chciałbym nadal mieszkać w tym lokalu. Właściciel twierdzi jednak, że wypowiedzenie już zostało złożone i umowa **zakończy się** z upływem okresu wypowiedzenia. Czy mogę cofnąć wypowiedzenie, skoro zmieniłem zdanie?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W PRAKTYCE WIELE OSÓB TRAKTUJE WYPOWIEDZENIE umowy jak zwykłą deklarację, którą można w każdej chwili odwołać. Tymczasem z punktu widzenia prawa sytuacja wygląda inaczej. Wypowiedzenie jest jednostronnym oświadczeniem woli, które wywołuje określone skutki prawne już z chwilą, gdy dotrze do drugiej strony w taki sposób, że mogła zapoznać się z jego treścią. Oznacza to, że późniejsza zmiana zdania przez najemcę lub wynajmującego nie powoduje automatycznie, że wypowiedzenie przestaje obowiązywać. Jeżeli zostało skutecznie doręczone, rozpoczyna bieg okres wypowiedzenia, a umowa co do zasady zmierza do zakończenia. Dobrym przykładem jest sytuacja najemcy, który wysłał właścicielowi mieszkania wypowiedzenie umowy e-mailem, ponieważ znalazł atrakcyjniejszy lokal. Kilka dni później okazało się, że nowy najem nie dojdzie do skutku. Mimo to samo stwierdzenie „rozmyśliłem się" nie powoduje, że wcześniejsze wypowiedzenie traci moc. Nie oznacza to jednak, że cofnięcie wypowiedzenia jest całkowicie niemożliwe. Kluczowe znaczenie ma moment, w którym następuje odwołanie oświadczenia. Jeżeli informacja o cofnięciu dotrze do adresata jednocześnie z wypowiedzeniem albo wcześniej, wypowiedzenie może nie wywołać skutków prawnych. W praktyce zdarza się to jednak stosunkowo rzadko. Jeżeli natomiast wypowiedzenie zostało już skutecznie doręczone, jego wycofanie wymaga co do zasady zgody drugiej strony. Oznacza to, że najemca i właściciel mogą wspólnie uzgodnić, że wcześniejsze wypowiedzenie nie będzie realizowane, a umowa będzie kontynuowana na dotychczasowych zasadach. Jest to jednak kwestia porozumienia stron, a nie jednostronnej decyzji osoby, która złożyła wypowiedzenie. W praktyce często dochodzi do sytuacji, w których właściciel mieszkania zdąży już znaleźć nowego najemcę albo podjąć inne działania związane z zakończeniem dotychczasowej umowy. W takim przypadku może nie być zainteresowany dalszym kontynuowaniem najmu, nawet jeśli dotychczasowy lokator zmienił plany.

Warto również pamiętać, że podobne zasady dotyczą nie tylko najemców, ale także wynajmujących. Również właściciel, który skutecznie wypowiedział umowę, nie może jednostronnie anulować swojego oświadczenia tylko dlatego, że zmienił zdanie. Podsumowując, skutecznie złożone wypowiedzenie umowy najmu co do zasady nie może zostać jednostronnie cofnięte tylko dlatego, że jedna ze stron zmieniła plany. Po doręczeniu wypowiedzenia jego wycofanie wymaga zazwyczaj zgody drugiej strony. Dlatego przed złożeniem takiego oświadczenia warto dokładnie przeanalizować swoją sytuację, ponieważ późniejszy powrót do wcześniejszych ustaleń może okazać się znacznie trudniejszy, niż początkowo się wydaje. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Chcieliśmy..., s. 54), w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Tomasz Gutry (Z archiwum..., s. 72), legenda „Tygodnika Solidarność". Z redakcją związany na stałe od 1993 roku. Od 1980 roku dokumentuje polskie przemiany. W latach 1983–1991 przygotowywał serwis fotograficzny Mszy za Ojczyznę w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

Cezary Krysztopa (Czuję się..., s. 71), zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność" i spiritus movens portalu Tysol.pl. Z wykształcenia architekt (jego projekty można podziwiać także w Warszawie). Z zamiłowania rysownik. Z powołania polemiczny publicysta. W naszym tygodniku od 2014 roku. Od lat namawiany na wydanie swoich legendarnych „Opowieści podlaskich".

Tadeusz Płużański (Ancona..., s. 65), historyk, popularyzator wiedzy o polskim podziemiu niepodległościowym. Wydał „Obławę na Wyklętych. Polowanie bezpieki na Żołnierzy Niezłomnych" (Replika, 2017). Dla nas pisze od roku 2020.

Mariusz Staniszewski (Zero..., s. 23), autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

Jan Wróbel (Zapisz się..., s. 19), jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 2dc4a65eb2

#MuremZaPolskim Mundurem



Koszulki

już do kupienia na

www.solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl 2dc4a65eb2

KLIMATY STOCZNIOWE

HISTORYCZNA

SALA BHP

I STOCZNIA GDAŃSKA

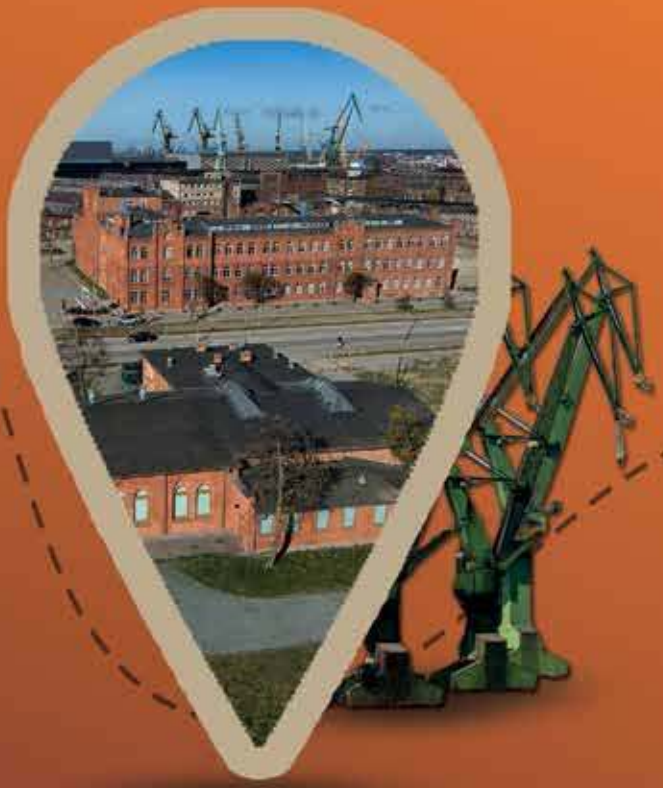

Fundacja Promocji Solidarności

NSZZ Solidarność

WYCIECZKI

Z PRZEWODNIKIEM

WWW.SALABHP.PL/REZERWACJE

eprasa.pl 2dc4a65eb2